Nr. 192. Lwów — Czwartek dnia 21 Sierpnia. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w Austryi i Anstryi miesięcznie 2 k. 20 h. w [illegible] . . . . . . 5 „ — „ w innych Państwach . . 6 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ [illegible] . Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer bieżący we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 10 h.

Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy nazw i [illegible], reklamy dla balów, koncertów i [illegible], spisy składek, ogłoszenia o [illegible], [illegible] i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników [illegible] we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń

Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible] h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 6 h. Nadesłane na trzeciej stronicy Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . [illegible] h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . [illegible] h.

Dziś: [illegible] | św. Joanny Fr. [illegible] | Emiliana B.
Jutro: [illegible] | św. Filiberta Op. [illegible] | Mateusza Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 5 m. 9
Zachód „ „ 6 m. 54

Długość dnia godzin 18 minut 45
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Lamenty hakaty.

Kilka dni temu Niemiec Stern kupił od hakatystycznego Landbanku piękną posiadłość ziemską Wielkie Jawty w Prusach Zachodnich i natychmiast odsprzedał ją p. Kazimierzowi Slazkiemu za milion marek, zarobiwszy na tym interesie kilkadziesiąt tysięcy. Hakata zawyła, załkała, jęła piorunami ciskać na Polaków, którzy intrygami swemi tak bardzo demoralizują z gruntu poczciwych Niemców, iż ci posuwają się aż do zdrady sprawy ojczystej, bo oto nabywają niemiecką ziemię jedynie po to, aby ją zaraz oddać w polskie ręce. Łatwo się domyśleć, co o takich spekulantach napisała przy tej sposobności prasa hakaty. Wedle niej, po prostu nie ma na świecie wstrętniejszej zbrodni nad taką frymarkę ziemią i nie ma większego zbrodniarza nad owego Sterna. Z jednego powodu warto się nad tem zastanowić. Oto, komisya kolonizacyjna pierwsza zaczęła się posługiwać takimi spekulantami, wyszukując ich sobie z pośród Polaków. Dwaj Szczepkowscy — ojciec i syn — rychło zasłynęli z takich usług hakacie, a oprócz nich znaleźli się także inni, mniej obrotni. Ponieważ jednak w kraju prędko ich poznano i żaden Polak nie chciał sprzedać im swej posiadłości, przeto hakatyści wyszukali sobie takich agentów nawet na warszawskim bruku, na którym — jak zwykle w wielkiem mieście — są ludzie wszelkiego rodzaju. I tych jednak agentów Wielkopolanie prędko zdemaskowali, opisali w dziennikach, nie szczędząc im stosownych przymiotników, i ostracyzmem usunęli z kraju. Oczywiście, szkodziło to hakacie i komisyi kolonizacyjnej, więc za najmniejszą ujmę na honorze, sprawioną tym agentom przez którekolwiek polskie pismo, zaraz prokurator oskarżał redaktora i wydawcę, nierzadko nawet drukarza, o [illegible]zenie społeczne i o znieważanie prywatnych obywateli, a sądy nielitościwie karały tych podsądnych. Rozjątrzenie polskie na tych agentów było jednak bardzo usprawiedliwione, bo gdyby nie oni, to znacznie mniej polskiej ziemi przeszłoby w posiadanie komisyi kolonizacyjnej. Wszakże niedarmo wykazuje ona, że trzy procent swych funduszów wydała na agentów!

Ich tedy pruska sprawiedliwość państwowa otoczyła bardzo czułą opieką, broniła ich swymi sądami nawet wtedy, gdy oni o to nie prosili: sam prokurator odczuwał obrazę i wnosił skargę Niech jednak nikt nie pomyśli, że to ma znaczyć, iż nie wolno ubliżać agentowi, który kupuje ziemię, aby ją zaraz z zyskiem odsprzedać: to ma tylko znaczyć, że godzien jest wszelkiego szacunku i opieki sądów ten, kto taką spekulacyą służy hakacie, kto zaś jej szkodzi, jak ów Stern, tego wolno bezkarnie przezywać, jak się komu podoba. Dziennikom hakaty wszystko wolno, doświadczył tego na sobie Stern. Sądy pruskie jeszcze raz przekonały Wielkopolan, że ich sprawiedliwość jest podwójna, jak za czasów krzyżackich, kiedy za samą skargę na Niemca Słowianin tracił prawą rękę, język, oczy, albo nawet głowę.

Ale oprócz jadowitego szczucia na Sterna, które ostatecznie nie odstraszy niemieckich spekulantów od dobrych interesów na kupnie i sprzedaży ziemi, pomyśleli hakatyści o skuteczniejszych sposobach na takich agentów. Najpierw projektują oni ustawę, wedle której każdy Niemiec, nabywszy ziemię od Polaka, czy od Niemca na tak zwanych „kresach wschodnich“, to znaczy zarówno w Poznańskiem, jak w obu Prusach, na Szląsku i w Warmii, musiałby tę ziemię posiadać najmniej lat kilka. Hakatyści jednak rozumieją, że taki ustawowy warunek zmniejszyłby liczbę niemieckich amatorów ziemi na „kresach wschodnich“, co znowu wyszłoby na korzyść Polaków, więc projekt tej ustawy odkładają na potem, chcą ją opracować bardzo szczegółowo, aby wcale nie krępowała rzetelnych Niemców, natomiast na pierwszym planie stawiają żądanie, aby ziemia, która już wyszła z rąk polskich, nie mogła do nich wrócić. Z tego widać, jak boleśnie dotknęło ich nabycie Wielkich Jawt przez p. Slazkiego. Ta wioska, posiadająca 4 tysiące morgów, zawsze należała do rodziny polskiej, zwolna upadającej pod ciężarem długów, ale tak zacnej, że pomimo ogromnych trudności, z któremi walczyła, nie chciała jej sprzedać Niemcowi. Aliści parę lat temu zjawił się kupiec z polskiem nazwiskiem i z patryotycznemi deklamacyami na ustach. Jemu wieś tę sprzedano, a zaraz potem się pokazało, że był to agent hakatystycznego Landbanku. Oszukani w ten sposób dziedzice tej pięknej posiadłości, przygnębieni niezawinionym wstydem i pełnemi cierpkich wyrzutów spojrzeniami rodaków, opuścili kraj, a Landbank przy największej pomocy rządowej doskonale zagospodarował swą nową posiadłość, jako środkowy punkt w okolicy czysto polskiej i katolickiej, jako nową twierdzę germanizmu. Zaopatrzywszy ją we wszystko, co tylko potrzebne do niemczenia okolicznego ludu, Landbank uznał, że względem tej wsi spełnił swój patryotyczno-pruski obowiązek, więc sprzedał ją Niemcowi, a ten zaraz odstąpił ją Polakowi. Podstępem nabyła ją hakata i przez podstęp ją straciła — stąd owe nadzwyczajne lamenty, załamywanie rąk i projektowanie ustawy o warunkach nabywania ziemi na „kresach wschodnich“.

Dla uspokojenia hakaty oznajmiły rządowe dzienniki, że będzie uczynione wszystko możliwe w tym celu, iżby w ogóle żadna niemiecka ziemia nie przechodziła w prywatne ręce: rząd kupi każdy folwark, przyłączy go do domen i wypuści w dzierżawę, a dzierżawcom da przeróżne przywileje polityczne, jak właścicielom dóbr rycerskich, oraz przywileje finansowe. Taka to się przygotowuje nowa antipolska ustawa. Lecz łatwo coś podobnego przyrzec, wykonać zaś będzie bardzo trudno, bo któryż Niemiec nie zechce zmienić się z prostego właściciela w pełnego przywilejów dzierżawcę! Wypadnie chyba dodać komisyi kolonizacyjnej jeszcze pół miliarda marek na samą zmianę wszystkich niemieckich właścicieli w dzierżawców domen.

Słowiańskie braterstwo.

W Sofii odbywa się teraz kongres macedoński. Biorą w nim udział tylko macedońscy Bułgarzy, którzy wyemigrowali do księstwa i z niego agitują przeciw Turcyi, a zarazem już przeciw macedońskim Serbom, Czarnogórcom, Grekom i Rumunom. Wiadomo, że te narodowości wzajemnie się nienawidzą i że wszystkie one stokroć wolą Turków, niż pobratymców. Wiadomo, że naprzykład niedawno, kiedy Porta ustanowiła w serbsko-macedońskiem mieście Uiskubie (Skoplii) serbskiego biskupa Firmiliana, to greckie duchowieństwo nie chciało go wyświęcić, a bułgarska ludność Skoplii zamknęła przed nim cerkwie, a potem chciała go nawet porwać i oddać zbójom. Lecz nowem jest zupełnie to, co teraz podano na macedońskim kongresie w Sofii, jako fakt niezawodny, oparty na zdobytych dokumentach. Oto, w Serbii, w mieście Niszu, leżącem nieopodal bułgarskiej i macedońskiej granicy, utworzył się specyalnie serbski komitet macedoński. Na kongresie w Sofii odczytano statut tego związku i oglądano jego pieczęcie.

Statut głosi w § 3-cim: „Celem komitetu jest wszelkimi sposobami tępić wszystko, co tylko jest bułgarskiego w Macedonii, Tracyi i Starej Serbii“. Paragraf 12 tak brzmi: „Każdy członek komitetu musi mieć pseudonim, nadany mu przez centralny zarząd związku, i w swych podróżach w celach agitacyjnych powinien mieć przy sobie sztylet i rewolwer, których bez wahania użyje przeciw Bułgarom, ilekroć przez to siebie nie narazi“. Paragraf 13-ty głosi: „Pieczęcią centralnego zarządu jest okrągły znak, posiadający w środku szablę, karabin i chorągiew serbską, pod niemi płonącą bombę, a w otoku słowa: „Śmierć Bułgarom“. Paragraf 15 ty postanawia, że „dla ścigania zewnętrznych i wewnętrznych wrogów narodu serbskiego, oraz dla poznawania ich działalności, centralny zarząd związku utworzy tajną policyę“. W paragrafie 19-tym powiedziano: „Każdy członek komitetu jest obowiązany zabijać Bułgarów, gdziekolwiek znajdzie do tego sposobność“, a w paragrafie 20-tym dodano, że „składając przysięgę na wierność związkowi, każdy jego członek przyjmuje na siebie obowiązek zabijania Bułgarów, jeżeli zaś kiedykolwiek zaniedba tej powinności, sam podlega karze śmierci“.

Belgradzkie pisma, powtarzając ten statut za bułgarską *Wieczorną Pocztą*, dodają od siebie, że ów serbski komitet macedoński założył jakiś „znany“ rewolucyonista Risto Popowicz i że naturalnie rząd serbski będzie gorliwie tępił jego spisek. O tem zapewne nikt nie zechce z góry wątpić: będzie rząd serbski tępił ów zbójecki komitet, jeżeli potrafi, ale nie o to chodzi, lecz o to, że między Słowianami panują takie braterskie uczucia.

Dyagnoza naszej anarchii.

Zaskoczeni niespodzianie objawami wprost rewolucyjnymi, łamiemy sobie głowy nad pytaniem: — skąd to się wzięło?... Dzienniki przepełnione artykułami o przyczynach strejku. Jedni widzą w tem walkę narodowościową Polaków z Rusinami, drudzy nawołują do „sprawiedliwości“ i od niechcenia podsuwają, że tu i ówdzie działy się nadużycia, trzeci wreszcie z westchnieniem mówią: „taki duch czasu“. Nikt nie ma odwagi nazwać przyczyny po imieniu i nazwisku... Postaram się dziś to uczynić.

Zanim to zrobię, spróbuję się naprzód uporać z owemi trzema fałszywie podawanemi przyczynami.

Więc po pierwsze: walki narodowej pomiędzy ludem ruskim a polską inteligencyą nie ma i nigdy jej nie było, bo lud ten nie ma zupełnie świadomości narodowej, a jeżeli zapytany: czem jest? — odpowiada: „Rusin“, to rozumie przez to, że jest katolikiem greckiego obrządku. Tak samo słowo „Polak“ w ustach chłopa wschodniej Galicyi znaczy „łacinnik“. Po za tem innych pojęć narodowych chłop nie ma, a jeżeliby ktoś bardzo go się dopytywał, to ostatecznie dowie się, że on jest „cisarskij“. Mimo dwudziestoletniej żarliwej propagandy inteligencyi rusińskiej, pojęcie narodowościowe u chłopów nie postąpiło dalej... Wieści o „walce narodowej“ Rusinów z Polakami rozpuszczają z olbrzymią pilnością po wszystkich zagranicznych gazetach sami rusińscy prowodyrowie — i ku ich wielkiej uciesze udało się im wpoić to fałszywe przekonanie i w kilka naszych redakcyi, które patrząc na kraj przez szyby okna redakcyjnego, nie wiedzą, co się wśród ludu dzieje i dają się brać na kawał panom agitatorom.

Drudzy, chowający w głębi swych dusz upartą niechęć do szlachty, wołają: „bądź co bądź, działy się tu i ówdzie nadużycia, piętnujcie te nadużycia, wykorzeńcie je do szczętu“. Znowu okno redakcyjne, zielone sukno i zupełna nieświadomość położenia. Artykuły przez ziemian pisane z powodu strejku, wykazały najdowodniej, że płaca, na ogół biorąc, była wysoka, a bardzo często wyższa, niż praca na to zasługiwała... Jakież tu mogą być nadużycia? Jeżeli jakiś głupi lub świnkowaty z natury szlachcic lub żyd (i tacy bywają) raz niedopłaci chłopu kilka centów, to może być pewny, że drugi raz robotnika nie dostanie, pójdzie on bowiem do sąsiedniego dworu, gdzie uczciwie płacą; w zimie zaś, gdy konkurencyi nie ma, w czasie, gdy płaca waha się pomiędzy 15—30 ct. za dzień roboczy, robotnik wychodzi tak późno, pracuje tak krótko, że i to wynagrodzenie małe przewyższa o wiele wartość wykonanej pracy. Czas by więc był, żeby ostatecznie zaniechano tego fałszywego argumentu, który powtarzany przez Rusinów i ich korespondentów do zagranicznych dzienników, jako wieść czerpana z pism polskich, daje broń w ręce naszych najzaciętszych wrogów.

Teraz sprawa z „duchem czasu“... Nie wiem doprawdy, co przez te dwa wyrazy rozumieć? Jeżdżąc po świecie, widzę wszędzie, że ludzie pracują ze zdwojoną energią i natężeniem, byle by się czegoś dorobić i zapewnić sobie wygodniejsze, dostatniejsze życie.... Taki „duch czasu“ panuje w całej Europie, a prawdopodobnie i Ameryce... Dlaczego u nas „duch czasu“ ma nakazywać, by lud nic nie pracował, a miał wszystkiego podostatkiem. Mazur, który poszedł do Ameryki lub „na Saxy“, nauczył się pracować, wzbogaca się stopniowo i zbliża się do europejskiej kultury; Rusinowi, któryby w Ameryce zmarł z głodu, ma nagle dać dwór utrzymanie sute i za to nie ma dostać nic w zamian. Naturalnie, że po kilku latach podobnej bezsensowej praktyki „duch czasu“ wydusi wszystkie dwory.... a kto będzie później karmił tego rozpróżniaczonego chłopa? Czy kasa państwowa?... Więc i „duch czasu“ nie jest bezpośrednią przyczyną strejków i rosnącej anarchii.

Gdzież ona leży?

Postaram się przedstawić tę sprawę podług mego sposobu widzenia.

Ogromny wzrost szkół i pomnożenie nadmierne ludzi kończących średnie zakłady naukowe, a nawet uniwersytety, sprawiły, że w kadrach urzędniczych i podobnych zawodach jak adwokatura, stan lekarski, notaryat, nie są ci ludzie w stanie pomieścić się i dobić rychło dostatniego utrzymania.. Do rzemiosła, do gospodarstwa rolnego, do przemysłu żadnego tak wyedukowany syn chłopa, księdza ruskiego, lokaja, woźnego lub ekonoma nie pójdzie, bo on „ma prawo“ do lepszego stanowiska... Mamy więc setki ludzi z wielkiemi pretensyami, ale porządnego rzemieślnika lub oficyalisty szukać trzeba ze świecą i trudno znaleźć...

Cała ta zgłodniała rzesza „kandydatów“ pragnąc natychmiastowego wyniesienia i zdobycia dobrobytu, przemyśliwała, w jaki sposób do tego dojść... Zrazu sfery rządzące, nie mając odwagi do kroków stanowczych, wyszukiwały najzdolniejszych i najniebezpieczniejszych z pomiędzy „kandydatów“ i tych kupowały, promowując ich po nad zdolności i zasługi na wyższe posady... To się bardzo podobało, każdy myślał, że krzycząc i robiąc *larum* w koło swej skromnej osoby, dobije się rychło awansu... Zrobił się krzyk ogromny, każdy Rusin, każdy syn stróża, któremu udało się skończyć uniwersytet, dobijał się z hałasem złotego kołnierza. — Kołnierzy zabrakło — zrodzili się malkontenci... Zabrzmiało wstrętne hasło: „Niedajecie nam chleba (z masłem), zobaczycie!... Zbuntujemy wam lud, a na jego karkach potrafimy was wypchać, sami zaś zajmiemy wasze pozycye“.

Rozpoczęła się robota w dwóch stołecznych miastach, osłoniona gwarancyami liberalnej konstytucyi, obiecywano niestworzone rzeczy, przed każdymi wyborami stróżowie byli pewni, że jeżeli im uda się wybrać wymównego kandydata, to kamienicznicy pójdą na stróżów, a oni zagarną czynsze z kamienicy, od której nie będzie się płacić żadnych podatków, a reparacye ponosić będzie magistrat, bo tak „pan poseł“ zarządzi... W ten sposób weszli pierwsi przewrotowcy do parlamentu. Osiągnęli pozycye wpływowe, wygodne i ponoś nawet lukratywne, ale tych zwycięzców było kilku, a amatorów na podobne promocye kilkuset... Dlaczegoż taki kandydat ma się zadowolić kilkuset guldenami zapracowanej pensyi, kiedy zostawszy posłem i mężem politycznym, może mieć kilkanaście tysięcy — wyborcy przecież muszą robić składki, żeby ich godnie i skutecznie reprezentował w Radzie państwa. Ruszono więc z miast do miasteczek i do wsi i tu się zaczęła robota jeszcze niebezpieczniejsza, niż w miastach, bo jeszcze z ciemniejszym elementem miano do czynienia... Robota łatwiejsza, bo echa propagandy „lisy i pasowyśka“ jeszcze nie przebrzmiały, bo w krwi i nerwach tych tłumów tkwi dziedzictwo hajdamackie po Chmielnickich, Krzywonosach, Gontach i Żeleźniakach odziedziczone.

Kandydaci na socyalistycznych ministrów, wystudyowawszy dokładnie ustawy i przepisy: o stowarzyszeniach politycznych, agitacyi przedwyborczej, wiecach za zaproszeniami, zabrali się raźno do roboty. Taki żydek lub Rusin, nie mając wiele zajęcia, agitował jak mógł, zrazu szło nie sporo, bo abstrakcyjne zasady socyalizmu i kollektywizmu nie trafiały do zakutych chłopskich mózgów, z powodu, że trudno było znaleźć odrazu praktycznego zastosowania tych teoryi. Rychło to agitatorowie spostrzegli i zmienili taktykę, publicznie prowadzono propagandę ustawowo dozwoloną, a cichaczem stawiano kropki nad „i“ i doprowadzono do ostatecznej, logicznej konsekwencyi. Więc opowiedziano chłopu, że ziemie pańskie prawnie się musi rozdzielić pomiędzy chłopów, lasy także, pastwiska także... a jeżeli który z włościan, pamiętając, że on jest „cisarskij“, głową kręcił i odpowiadał, że to musi wyjść prawo od Cesarza, mówiono mu, że właśnie Cesarz takie prawo układa.

Starostowie wobec tak jawnej agitacyi chwytali się za głowy, chcieli zrazu przeciąć kwestyę nożem — poaresztować agitatorów... Cóż, kiedy przekonali się wkrótce, że to, co oni robią jawnie, to jest legalne i konstytucyą dozwolone, a tego, co na ucho chłopom prawią, nikt się nie dowie, bo chłop nie zdradzi. Ręce więc im opadły i puścili wodze bezkarnej a zajadłej agitacyi. Dwa lata tej roboty wywołały strejk i gwałty, jeszcze rok, a będziemy mieli rzeź, bunt i rewolucyę... Inaczej być nie może.

Zastanawiam się czasem nad tem, że jeżeli w kraju wybuchnie cholera, to wsie i domy zakażone bakcylem cholerycznym władza izoluje, otacza wartą i kordonami i tępi tego bakcyla tak długo, aż go wyniszczy do szczętu... Bakcyl anarchii i hajdamaczyzny to wróg nasz gorszy niż zarazek cholery, dlaczegóż my nie przetrzemy oczu i nie zabierzemy się do uzdrowienia naszego społeczeństwa od tej strasznej zarazy. Jeżeli wolno zastosowywać wyjątkowe zarządzenia przy cholerze, dlaczegoż nie zaprowadzamy podobnych przy chorobie anarchii... Musiałyby one być mądre, przezorne i sprawiedliwe; musiałyby one wieść wprost do celu, a nie być ciężarem spokojnej i niewinnej ludności... Nie miejsce jednak w artykule dziennikarskim podawać podobnych projektów; — mamy Koło polskie, mamy Sejm, mamy rząd, który wspieraliśmy zawsze — niech te czynniki postarają się o uzdrowienie kraju.

W Dubienku 18 sierpnia 1902.

K. Sołtan-Abgarowicz.

---

32)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Olga chorowała ciężko, przez dwa tygodnie była w niebezpieczeństwie. Powrót do zdrowia powitała obojętnie, prawie z żalem; cóż jej życie dobrego teraz już przynieść mogło?

Płakała gorąco za zmarłem dzieckiem; ta mała istotka, której przyjścia na świat nie pragnęła wcale, o której niegdyś myślała prawie z niechęcią, bo miała być dzieckiem tego człowieka przez nią znienawidzonego, byłaby może zdołała zapełnić część jej serca, nadać cel jakiś pustemu, zmarnowanemu życiu.

A teraz samą była zupełnie. Nie kochała nikogo i nikt jej nie kochał!

Wróciła już była zupełnie do zdrowia, odzyskała w całości dawną świeżość i piękność.

Żałoba po matce skończyła się właśnie.

Zaczęli bywać w świecie, ona z początku opornie, niechętnie, prawie zmuszona do tego przez męża, którego niesłychanej próżności pochlebiał jej majątek, jej stosunki rodzinne i wspaniała uroda — i który, prawdziwy dorobkiewicz, chciał pochwalić się tem wszystkiem przed światem.

Ogarnęła ją odrazu atmosfera wielkomiejskiego życia, gwarna, błyskotliwa, odurzająca, otoczyły hołdy i zachwyty mężczyzn.

Zaczęła bawić się, nic tylko bawić, namiętnie, szalenie, odurzać się tymi świetnościami, tym bezustannym gwarem, tym podziwem, który piękność jej i wdzięk budziły na każdym kroku.

Będąc jeszcze panną, zanim poznała Romana, żyła tem samem życiem błyskotliwem i pustem — teraz więc z łatwością powróciła do niego.

Nie miała w domu żadnych obowiązków, żadnych celów — wrodzoną zalotność i próżność kobiecą głaskały mile światowe tryumfy — żyła więc tak z dnia na dzień, wśród ciągłych zabaw, zagłuszając w sobie myśl o przeszłości, i gwałtem starając się wmówić w siebie, że jest, że musi być szczęśliwa.

O Romanie usiłowała nie myśleć... zapomnieć....

Pocóż niewczesnym żalem zachmurzać sobie życie, które teraz chciała mieć ciągłą nieprzerwaną zabawą?

Raz jeden, pamięta, spotkała się w pewnem towarzystwie z Mirskim.

Garbusek przypatrywał się jej badawczo, troszkę szyderczo; wiedziała, że nie lubił jej nigdy, i sama też mu to szczerze odpłacała. Nazywała go dawniej „złośliwym gnomem“ — lecz dziś, gdy spotkała go, ogarnęło ją mimowolne wzruszenie.

On był przyjacielem Romana; musiał wiedzieć, co się z nim dzieje.

Rozmawiano; Mirski siedział obok Olgi; w tem usłyszała, że jedna z obecnych pań zapytała go o Romana.

Uczuła, że blednie jak ściana, i naraz ogarnął ją szalony lęk, żeby nie usłyszeć czegoś strasznego.

Było to właśnie w tym czasie, kiedy Roman wracać miał do kraju.

Olga, siedząc nieruchomo, z sercem bijącem gwałtownie, usłyszała, jak Mirski opowiadał o ciężkiem zranieniu i długiej chorobie młodego malarza, o bliskim jego powrocie...

Słyszała jak przez sen, że jeden z panów wyraził przypuszczenie, że on teraz pewno się ożeni „z tą ładną panienką, wychowanką jego matki“ — a Mirski odpowiedział:

— Nie mógłby zrobić nic mądrzejszego. To prawdziwie anielskie stworzenie. Mam nadzieję, że się rzeczywiście na tem skończy.

Olga resztę wieczoru spędziła jakby tylko nawpół przytomna. Pod pierwszym lepszym pozorem pożegnała wszystkich i wróciła do domu.

Wiadomość usłyszana uderzyła w nią nagle, wstrząsnęła, jakby prąd elektryczny.

Z pośród wiru zabaw, balów, rautów, światowych tryumfów, jak z za mgły gęstej, wysunęła się znów przeszłość, jasna, niezapomniana — i uczucie strasznej krzywdy wyrządzonej przejęło ją nagle niezmiernym żalem i prawie odrazą do teraźniejszego jej życia.

Ona tutaj tańczyła, bawiła się, flirtowała bezmyślnie — a on biedny, tam na końcu świata walczył ze śmiercią... i taki sam był, sam jeden... i to wszystko przez nią, przez jej winę!

I przypominając sobie ostatnie słowa Mirskiego uczuła bolesną zazdrość i niemal zawiść do tej Tereni, o tyle lepszej i szlachetniejszej, która kochała Romana taką czystą, tak całkiem bezinteresowną miłością, i która teraz, kiedy on wracał z obczyzny, chory, przybity fizycznie i moralnie, miała prawo być przy nim, pielęgnować go, otaczać opieką.

A ona sama? Ona, którą on jedną w życiu kochał, ona, co niegdyś wśród pocałunków szeptała mu pełne zachwytu słowa miłości — ona była dziś jedną z najpiękniejszych, najświetniejszych kobiet Warszawy, miała dom urządzony wystawnie, wspaniały ekwipaż, pyszne brylanty, szereg cały wielbicieli, wzdychających do niej skrycie, — i męża, który chełpił się jej królewską urodą, taksamo jak nowem umeblowaniem lub parą koni, za którą zapłacił bajeczną cenę.

Bawiła się, tańczyła, flirtowała....

O Boże! Boże! Z jaką pogardą, z jakiemże politowaniem on o niej myśleć musi!

I nic dziwnego. Czyż on lub ktokolwiek wiedzieć może, co dzieje się w jej duszy, jak tam teraz ciemno i smutno, jak ona dziś gorąco żałuje tej nieszczęsnej chwili, tego przeklętego kaprysu, przez który zepsuła życie i sobie.... i tamtemu....

Długi czas potrwało to wrażenie, zabijająco smutne, przygniatające do ziemi całym ogromem beznadziejnej tęsknoty.... a potem życie jej poszło dalej dawnym trybem, huczne, wesołe, podobne do odurzającego narkotyku, który znieczula rany.

Gdzie tylko się ukazała, budziła podziw i zachwyt i nieraz gorące uczucia w sercach mężczyzn; sama zaś wśród tych hołdów i pokus pozostała dumna i zimna, jakby nic już jej serca wzruszyć ni rozgrzać nie było w stanie.

Z mężem stosunek był coraz gorszy, zmienił się z czasem w ciągłą cichą walkę.

Gdy piękność jej, po długiej chorobie, powróciła znów w całym dawnym blasku, gdy ujrzał ją tak otoczoną i uwielbianą, obudziła się w nim paląca, niska zazdrość, a z nią dawna namiętność i przyszło między nimi do scen gwałtownych, kiedy ona odepchnęła go z pogardą i zimno oświadczyła, że zostawia mu wszelką swobodę w najszerszem znaczeniu tego słowa, sama zaś żąda tylko jednego, aby byli z sobą jak ludzie obcy.

Gdy z całą brutalnością swego usposobienia domagał się swoich praw, zagroziła rozłączeniem.

Tego znów nie byłby dopuścił za nic w świecie, bo chodziło mu najpierw o rozgłos, jakiego ta sprawa narobiłaby niechybnie, a potem i najwięcej o to, że rozłączając się z żoną straciłby jej majątek, który, nawiasem mówiąc, znacznie już był nadszarpnął przez tych parę lat.

Poddał się więc żądaniu Olgi, lecz zadraśnięty do żywego w swej próżności, znienawidził ją odtąd głęboko. Z tą nienawiścią połączone było jednak zawsze zazdrosne, zawistne pożądanie.

Tak więc żyli z sobą w ciągłej walce, mieszkając w jednym domu i bywając razem w świecie, lecz prócz tych pozorów nie mając nic, coby ich z sobą łączyło — i Olga, wciągnięta już w gwarne i puste życie wielkiego świata, zaczynała smakować w nim coraz bardziej i powoli przestawać prawie myśleć o wszystkiem, co nie było zabawą — kiedy nagle przyjazd Romana do Warszawy i spotkanie z nim wytrąciły ją zupełnie z równowagi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wyjaśnienie.

Z powodu wiadomości o rzekomych malwersacyach w kołomyjskiej Kasie oszczędności, otrzymaliśmy od Dyrekcyi tej Kasy następujące wyjaśnienie:

„Jest faktem, iż dwaj urzędnicy Kasy oszczędności m. Kołomyi zatrudnieni przy książkowaniu, przyjąwszy od zaprzyjaźnionych z nimi osób pewne — zresztą nieznaczne kwoty — na spłacenie rat pożyczek hipotecznych, nie oddali onych do Kasy, lecz je dla siebie zatrzymali. Z chwilą wykrycia tych nadużyć, nie narażających bynajmniej Kasy oszczędności zgoła na żadną szkodę, i po zupełnem odszkodowaniu interesowanych stron przez owych dwóch funkcyonaryuszów, wydaliła ich Dyrekcya bezzwłocznie ze służby i tem samem została sprawa cała ostatecznie załatwioną“.

W Kołomyi dnia 19 sierpnia 1902.

Dyrekcya Kasy oszczędności miasta Kołomyi.

Józef Skupniewicz, prezes Dyrekcyi. *Dr. M. Trachtenberg*, zastępca prezesa Dyr. *K. Br. Witosławski. A. Kozaczek. Dr. Leon Auerhand. Karol Balicki*, naczelnik biur.

Strejki rolne.

(*Okólnik prezesa Kraińskiego*).

Zasłużony prezes Towarzystwa kredytowego ziemskiego, dr. Władysław Kraiński, rozesłał do wszystkich delegatów tego Towarzystwa w Galicyi wschodniej okólnik, w którym zwraca ich uwagę na to, że jakkolwiek ruch strejkowy ustał, wszelako ziemianie mimo to nie powinni zakładać rąk, bo nie jest wcale wykluczonem, iż w czasie pilnych robót jesiennych, mianowicie podczas zbioru kartofli, te same żywioły, które wywołały zaburzenia podczas żniw, podniosą znowu głowę. Dlatego też dobrze byłoby, ażeby obywatelstwo w powiatach, które były ogarnięte wrogą agitacyą, zawczasu porozumiało się co do środków zaradczych, których należałoby użyć w razie powtórnych rozruchów podczas robót jesiennych. Najważniejszą rzeczą jest, ażeby ziemianie obmyślili jednolity sposób postępowania, ażeby unormowali ceny robocizny i ażeby z góry zapewnili sobie na wypadek potrzeby zamiejscowe siły robocze.

Do tego okólnika czcigodnego prezesa Towarzystwa kredytowego pozwolimy sobie dodać kilka uwag. Owóż za najważniejszą rzecz uważamy poruszoną w tym okólniku kwestyę uregulowania cen robocizny. Należałoby je tak ustanowić, ażeby i ziemianin wyszedł na swoje i robotnik nie miał krzywdy. Ponieważ zaś faktem jest, że w wielu miejscowościach, gdzie spekulanci przyszli w posiadanie ziemi czy to drogą kupna, czy też drogą dzierżawy, włościanin jest istotnie wyzyskiwany, przeto polscy ziemianie nie powinni się oglądać na to, że sąsiad ich spekulant płaci takie lub owakie ceny, ani też iść za jego przykładem, lecz właśnie powinni kierować się tylko względami słuszności i tak postępować, ażeby włościanin poznał to, że co innego jest pracować dla ziemianina, osiadłego na roli i kochającego kawał ojczystego zagonu, a co innego dla spekulanta, patrzącego tylko na to, ażeby jak najwięcej wyeksploatować ziemię i mieszkańców osady. Kto zna stosunki, panujące w dobrach, w których właścicielem lub dzierżawcą jest spekulant, ten wie, na jaki wyzysk jest tam wystawiony lud wiejski.

Z reguły bowiem wraz z właścicielem lub dzierżawcą spekulantem przychodzi do wsi kilkunastu oficyalistów tej samej rasy co ów spekulant, tudzież kilkunastu lichwiarzy bez żadnego zajęcia, pragnących żyć z osady. Taki spekulant maleńki jest w spółce tajemnej ze spekulantem wielkim, bo pożycza sobie od niego kilkadziesiąt guldenów na 15% lub 20%, i tym kapitałem uprawia między ludem lichwę najgorszego gatunku, bo idącą do 200 i 300% rocznie. Ludzie ci do kilku tygodni tak się zoryentują w sytuacyi, iż wiedzą jak najdokładniej, co potrzebne jest w każdej chałupie chłopskiej, jakie upodobania i słabostki ma ten lub ów gospodarz, jego żona i jego dzieci, Narzucają się więc chłopom we wszelki możliwy sposób, wpychają im rzeczy często niepotrzebne, wódkę, pieniądze, — w ogóle handlują czem tylko się da, i naturalnie każą sobie płacić lichwiarskie procenta. Co tydzień chodzą od chałupy do chałupy zbierać raty i przytem zawsze wypraszają sobie od chłopa jakiś podarunek, choćby to było jedno jajo, lub garść konopi, zboża lub krup. Na razie takie podarunki wydają się drobnostką, ale pobierane przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku, robią często więcej, niż cała pretensya. Przeciw takiemu wyzyskowi panowie agitatorowie wcale nie wystąpili, lecz uważali za właściwe zapalić pochodnię nienawiści narodowościowej.

Drugą niezmiernie ważną rzeczą jest zapewnienie sobie w razie potrzeby zamiejscowych sił roboczych. Naszem zdaniem, najskuteczniejszym środkiem ku temu jest dobre obchodzenie się z tymi robotnikami z Galicyi zachodniej, których sprowadzono obecnie na żniwa. Są ich teraz setki, ale w razie potrzeby mogą oni pociągnąć za sobą tysiące, jeżeli tylko nie będą mieli powodu do użalania się.

Tych kilka uwag poddajemy pod rozwagę naszego obywatelstwa.

Co i o czem piszą.

P. Zygmunt Bartkiewicz opowiada w *Kuryerze Warszawskim* swoje spostrzeżenia nad myśliwymi niedzielnymi czyli t. zw. *„Sonntagsjägerami“*. Pisze on:

Skoro nadejdzie niedziela, dziesiątki myśliwych opuszczają miasto, ożywione jednym celem: zabić co się da i jak się da dzisiaj, bo jutro... polowanie wydzierżawi kto inny...

Oto właśnie p. Józef doczekał się dnia 17-go sierpnia i jedzie na polowanie.

Przyrządził naboje ze wszystkich numerów śrutu, nakarmił psa jak nigdy, przygotował cały rynsztunek myśliwski wraz z szerokim jataganem (drżyjcie, drapieżne kuropatwy!) i wydał ostatnią dyspozycyę co do obudzenia go jutro o świcie.

— Dać ci, Józiu, kaftanik włóczkowy? Bo teraz poranki chłodne... — pieszczotliwie kwili prawowita małżonka.

— Daj, aniołku.

— Możebyś wziął te długie wełniane pończochy? Bo to widzisz, na nogi...

— Daj, skarbie.

— Dam ci także ten szalik, co to Mela robiła.

Józio już śpi, a troskliwa małżonka układając przy nim wyroby włóczkowe i wełniane, szepce do siebie:

— I po co mu to? Nie dośpi, nie doje, zamoczy gdzie nogi, nabawi się kataru.

Nagle błyska tkliwej towarzyszce myśl szczęśliwa, budzi więc śpiącego Józia.

— Kalosze włożę ci do torby, tylko uważaj, żeby ci nie zamienili.

— Dobrze, jedyna.

— Można cię pocałować, Józieczku? Ty niedobry!...

— Włóż do torby — jęczy zaspany.

Ale niech śpi Józio... Jutro czekają go troski, zawody i żale, których nie odwróci od niego ani szafirowy kaftanik, ani kalosze, ani pocałunek prawowitej małżonki.

. . . .

Po szerokim pasie białej tatarki suną ciemne sylwetki myśliwych; przed niemi dobre psy sumienne „okładają“ pole. W dali sinieje pas lasu, za nim znów bezmierna przestrzeń pól złocistych, zielonych, brunatnych... Tam zaledwie widoczny jakby zawieszony w powietrzu blask wieżycy kościelnej, a tam w morzu zieloności tonie dwór biały. Za nim znowu pole i pole szare bezbrzeżne... Wysoko słońce palące, pod niem napojone żarem powietrze.

Zmęczeni ludzie—myśliwi idą powoli, jakby zgnębieni trudem niezmiernym.

Jeden z psów, przodujących smutnemu pochodowi, stanął nagle, wyciągnął łeb, wyprężył ciało i z podniesioną przednią nogą zastygł bez ruchu.

— Są, są, — przeleciał szept po szeregu. Ludzie zbili się w gromadkę i otoczyli miejsce, które pies głową o drgających nozdrzach wskazywał.

Serce bije, jak gdyby z piersi wyskoczyć miało, ciało dreszcz przechodzi, strzelba drży w dłoniach, a mordercze jej lufy zwracają się nagle w stronę starego strzelca, spokojnego staruszka z długiemi siwemi wąsami.

— W imię Ojca i Syna, aby nie we mnie, królu kochany!

Pies posunął się naprzód, przypadł do ziemi, posunął się znowu i nagle iść począł, wolno, coraz prędzej... Za nim gromada myśliwych biegnie, głowa naprzód podana, w oku płomień, w sercu zaciętość, a w dłoni błyszczy broń okrutna. Idą, jak do ataku, mężni, zaciekli, pies ich prowadzi... Idą.

Na brzegu białego pasa furknęły skrzydła, ci-wirr, ćwirr, cir, ćwir — porwały się kuropatwy.

Z bezładnej kupy buchnęły strzały; śmierć w każdej lufie zaklęta owiała ognistem tchnieniem przerażone stadko i cisnęła o ziemię... jedną ofiarę.

W kierunku drgającego ptaka poskoczyły psy, wyciągnęło się rąk dziesięć.

— Moja...

— Nie, za pozwoleniem, to moja.

— Ależ przepraszam, ja strzelałem.

— A ja zabiłem.

— Ja miałem ją doskonale na celu.

— A ja ją mam przy torbie.

— Jeżeli starka, to moja — odzywa się stary strzelec — umyślnie ją chciałem odbić od stada.

— Ja także do starki chciałem...

— I ja od stada.

Rozpoczyna się sprzeczka na dobre — mądre psy patrzą zdziwione; przywykły do ciszy na polowaniu. Myśliwi tłómaczą sobie różnicę strzelania i zabicia, kiedy wtem nagle: — ćwirr — cir zrywa się obok spłoszona kuropatwa, za nią dwie, cztery...

Rozlegają się strzały, młody myśliwy, w podnieceniu, rzuca za ptakami nienabitą strzelbą, potem znowu grzmot strzałów we wszystkich kierunkach. Stary strzelec żegna się pobożnie:

— „I od nagłej, niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie“.

Nastaje cisza, na twarzach myśliwych maluje się bezmyślne zakłopotanie. Jeden ze strzelców przytracza sporną kuropatwę, mówiąc:

— No, chodźmy, panowie, nie zabraknie tu dla nikogo.

Idą, a za chwilę grzmią znowu wystrzały i znowu sprzeczają się myśliwcy. Zniecierpliwione psy odbiegają swych panów, inne próbują polowania na własny rachunek. Rozlegają się krzyki, gwizd, nawoływania, skowyt bitych i kopanych zwierząt, przekleństwa i narzekania.

— Szedł miedzą, uszy mu tylko widać, nie mogłem strzelać.

— Ale dostał, odemnie dostał; strzelałem przecie z *choke bore'a* — upewnia ktoś drugi.

Obok brzmi rozmowa:

— Co panu tak twarz nabrzmiała? Fluksya pewno?

— Strzelba mi tak odbiła — odpowiada krzywousty.

— Dlaczegoż pan nie sprzeda, albo zamieni.

— Przyzwyczaiłem się, panie kochany.

Ofiara własnych namiętności, ze spuchniętą twarzą brnie dalej pracowicie przez gęste łubiny; nad nią unoszą się czajki i jakby szydzą żałosnym dźwiękiem: oj, oj, oj... Znowu dwa strzały i jęk zmęczonego głosu:

— Chociaż żonie na kapelusz zabić chciałem, a tu jak nie wytnie! Gęba na lewo, strzelba na prawo! Czy to można co zabić, panie kochany?

— Naboje za mocne pan robi.

— Strzał, panie kochany, pewniejszy.

Pomknął zając; w całym szeregu buchnęły strzały. Kot wyciągnął się, słuchy po sobie położył i sadził. Stary strzelec prowadził za nim długo cel swojej strzelby, aż wypalił i zając legł, z dymem, bez ruchu.

— Dobrze stary strzelił! Pokaż-no pan strzelbę.

Stara, wysłużona kapiszonówka obeszła wszystkie ręce; próbowano zamków, zaglądano w lufy, jakby w poszukiwaniu tajemnicy urządzenia, która skuteczny strzał sprowadza.

— Kuropatwim pan strzela?

— Jednym, panie dobrodzieju, jednym gatunkiem na wszystko, już 50 lat strzelam.

— Jakimże numerem? — dopytuje się ktoś ciekawie.

— A któżby tam numerami strzelał, panie dobrodzieju? Sypie się oto trochę grubego, ze dwa półkulcza; albo i siekańca, donsta, aby, to i do dzika mogę, i do koziełka, a jak z biedy potrzeba, to i zając dostanie. Tak to, królu kochany, ale numerami strzelać! — zżymnął się staruszek.

Pokiwali głowami strojni myśliwcy, posiadacze wspaniałych luf Bernarda i ozdobnych damasceńskich dziwerów; westchnęli smutnie, a jeden z nich rzekł:

— Te stare strzelby jednak dobrze biją; teraz to wszystko tandeta.

— Oj tak, panie dobrodzieju, wszystko, wszystko tandeta. Ale służę zającązkiem; ja tam na to nie chciwy.

Zamykanie szkół katolickich
we Francyi i w Szwajcaryi.

(*Telegramy „Przeglądu“*).

Brest 20 sierpnia. Sąd zarządził śledztwo przeciw osobom aresztowanym podczas demonstracyj w Ploudaniel i St. Meen.

Paryż 20 sierpnia. Przy zamykaniu szkoły w Pont-Croix w Bretonii ludność stawiła szczególnie gwałtowny opór. Na ulicy, prowadzącej do budynku szkolnego, ustawiono barykadę, którą zdołano usunąć dopiero z pomocą wojska. Gdy tłum coraz bardziej się burzył, wysłano przeciw niemu konną żandarmeryę. Wtargnęła ona w środek tłumu, przyczem wiele osób zraniła. Kamieniami zraniono także kilku żandarmów i jednego urzędnika policyi. Dopiero po półtorej-godzinnej walce, powiodło się policyi i żandarmeryi zająć budynek szkolny i doręczyć dekrety, poczem zakonnice otoczone tłumem ludności, udały się do kościoła.

Evreux 20 sierpnia. Wczoraj urządzono tu demonstracyę przed prefekturą, na rzecz wolności nauczania. Przyszło przytem do bójki, w której radcę prefektury zraniono. Trzy osoby aresztowano. Deputacya demonstrantów wręczyła prefektowi petycyę w sprawie wolności nauczania.

Berno szwajcarskie 20 sierpnia. Rada związkowa na podstawie ustaw związkowych wyznaczyła jedenastu zakonom żeńskim i kongregacyom, które osiedlone były w kantonach: St. Gallen, Waadt, Wallis 90-dniowy termin do uporządkowania swoich interesów. Władze naczelne tych trzech kantonów otrzymały już polecenie przeprowadzenia rozkazu wygnania.

Z izby sądowej.

Lwów, 20 sierpnia.

(*Rozruchy uliczne*).

Przesłuchiwany wczoraj jeden z najważniejszych świadków nadkomisarz policyi Wenc opisywał chwile poprzedzające bezpośrednio szarżę huzarów na pl. Strzeleckim dnia 2-go czerwca. Na telefoniczną wiadomość, że na placu przyszło do konfliktu między żołnierzami a robotnikami, otrzymał świadek polecenie: „plac z tłumu oczyścić“. Udał się więc na miejsce dorożką od strony Podwala, mając z sobą dodany mu do asystencyi pluton huzarów, pod komendą por. Schwarza. Zastał robotników bardzo wzburzonych, stawiali oni żądania, które się świadkowi wydały wprost zuchwałemi, np. żeby ustąpiło wojsko. Mimo to świadek wziął to żądanie na seryo i powodując się tem, że kompania piechoty kap. Wesselego i tak nie została mu dodana do asystencyi, a nadto nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za użycie tego oddziału, prosił kap. Wesselego, by wraz ze swoją kompanią odmaszerował. Mimo to bastownicy nie uspokoili się, chociaż świadek osobiście prosił ich, by się rozeszli i ich przywódców wzywał, by towarzyszom nakazali spokojnie rozejść się. Wobec tego uznał świadek za stosowne po tej prywatnej akcyi, przystąpić do akcyi urzędowej. Kazał bliżej podjechać swojej dorożce i stojąc w niej, kilkakrotnie wzywał tłum: „W imieniu prawa, proszę się rozejść“.

P r z e w. Czy napomnienie to było głośno wypowiedziane?

Św. Głosu tubalnego wprawdzie nie posiadam, ale przeciętny, taki, jaki miewa człowiek o zdrowych płucach, a wołałem wówczas, wytężając wszystkie siły i mam przekonanie, że robotnicy słyszeli mnie w znacznej odległości, tem bardziej, że podczas pierwszego wezwania, tłum może nieco zaciekawiony, nagle zupełnie ucichł i otoczył kołem moją dorożkę. Zresztą każde moje wezwanie powtarzał potem jeszcze raz z kozła dorożki jakiś robotnik, obdarzony silnym głosem, który sam się do mnie zgłosił.

P r z e w. Czy wezwania następowały prędko po sobie?

Św. Bynajmniej, między jednem wezwaniem a drugiem było parę minut czasu, podczas których śledziłem, jakie wrażenie robią moje wezwania. Wrażenia nie było żadnego, owszem tłum przybierał jeszcze groźniejszą postawę, a ktoś — zdaje mi się jeden z agentów — zawiadomił mnie, że demonstranci zbierają kamienie. Wtedy przyszedłem do przekonania, że chcąc wypełnić dane mi polecenie, muszę użyć wojska i dałem znak porucznikowi p. Schwarzowi.

Obrońca dr. S o l a ń s k i. Czy ten sygnał trąbką do ataku, który potem zabrzmiał, był nakazany przez pana, czy też był własnym pomysłem por. Schwarza?

Ś w i a d e k. To jest widocznie rzecz przepisana instrukcyą wojskową, ja na to nie miałem żadnego wpływu.

O b r o ń c a. A więc tylko wiadomość o tem, że demonstranci zbierają kamienie, tak przestraszyła świadka, że wezwał na pomoc wojsko?

Ś w i a d e k. Od szeregu lat mam do czynienia ze zgromadzeniami i przyzwyczaiłem się do spokojnego i powolnego postępowania z demonstrantami. Więc wiadomość o tem, że robotnicy zbierają kamienie, bynajmniej nie wpłynęła bezpośrednio na moją decyzyę, tak, żebym ja działał bezpośrednio pod jej wpływem zirytowany lub stropiony. Wiadomość ta dobiegła mnie w formie uwagi jeszcze po mojem drugiem wezwaniu do rozejścia się, a wpłynęła na mnie o tyle, że była dla mnie wskazówką, illustracyą, po której mogłem ocenić usposobienie tłumu i potwierdzić własne spostrzeżenie, że sytuacya jest zaostrzona.

O b r. dr. S c h l e i c h e r. Czy gdyby pan wiedział, jaki skutek będzie miała szarża huzarów, byłby pan dał wojsku ów fatalny znak?

P r z e w. Pan nadkomisarz może uchylić się od odpowiedzi na to pytanie, jako postawione w formie warunkowej.

Ś w i a d e k. Owszem odpowiem. Otóż według instrukcyi, w początkach wszelkich rozruchów używa się przedewszystkiem do rozpędzania tłumów nie piechoty ale kawaleryi. Kawalerya ma za zadanie przez szybkie ruchy rozprószyć tłum, a jej interwencya jest o tyle mniej niebezpieczną od piechoty, że nie sięga w bliskości. Zresztą stojąc w dorożce zbadałem okiem sytuacyę i widziałem, że ulica nie jest ścieśniona i że jest dość placu, by tłum mógł się swobodnie rozprószyć pod naciskiem kawaleryi. Byłem przekonany, że jeżeli kawalerya wykona odpowiedni ruch naprzód, tłum rozleci się na strony, a cała akcya będzie skończona. Co do użycia przez wojsko pałaszy, to stało się to dopiero wtenczas, gdy po pierwszym ataku obrzucono huzarów kamieniami — takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Czy zaś byłbym dał znak huzarom, gdybym przewidział takie skutki ataku, jakie w istocie nastąpiły? Na to pytanie daję krótką odpowiedź: ja miałem jasno określone polecenie i to polecenie spełniłem. Badać motywa psychiczne tłumu, przewidywać, że tłum zrobi to lub owo, nie było moją rzeczą.

Świadek dr. R e i n l ä n d e r, komisarz policyi, starał się uspokajać tłum na pl. Strzeleckim jeszcze przed przybyciem nadkomisarza Wenca, bez asystencyi wojskowej. Szczegóły dalsze opowiada tak, jak p. Wenc, dodaje tylko, że pod wpływem wezwań p. Wenca część robotników zaczęła się nawet rozchodzić, mówiono sobie wzajemnie: „Chodźmy towarzysze“, ale gros tłumu stało na miejscu.

Świadek C h m i e l a r s k i, koncepista policyi, opowiada, że tłum na uspokajające przemowy swych prowodyrów odpowiadał: „Precz z Witykiem!“ lub: „Złodzieje, wy pijecie za nasze pieniądze wódkę“. Na urzędowe wezwania nadkomisarza Wenca tłum zamiast rozstąpić się, zaczął całą masą pchać się w stronę strażnicy.

Obr. dr. S o l a ń s k i. A coby się było stało, gdyby nadkomisarz Wenc nie był użył wojska i poprostu odjechał sobie?

Ś w i a d e k. Prawdopodobnie tłum w tem usposobieniu poszedłby na miasto.

Między innemi zeznaje też świadek, że kamienie padały na huzarów jeszcze przed ich atakiem. Gdy przewodniczący zwraca uwagę świadka, że ani p. Wenc, ani dr. Reinländer nie widzieli, by kamienie już wtedy padały, obstaje świadek przy swojem, mówiąc, że ci panowie będąc zajętymi z przodu pertraktacyami z robotnikami, nie mogli dokładnie obserwować, co się działo na całym placu Strzeleckim.

Świadek J a n i c k i, komisarz policyi, wraz z półkompanią piechoty wszedł na pl. Strzelecki ulicą Grodzickich i był świadkiem chwili, jak oskarżony Telczyński na widok luf karabinów, wymierzonych do strzałów, rozpiął surdut i w sposób prowokujący wołał, żeby strzelano. Piechota jednak jeszcze wówczas nie strzelała.

W toku swych zeznań mimowoli użył świadek słów, że wraz z komisarzem Gucklerem, idąc w asystencyi, „patrzali, aby jak najwięcej ludzi aresztować“. To zdanie pochwycili obrońcy i zaczęli zasypywać świadka pytaniami, aż w końcu wziął go w obronę przewodniczący i przerwał dyskusyę.

Ś w i a d e k G u c k l e r, komisarz, zeznaje, że na placu Strzeleckim policyanci przedstawili mu kilku demonstrantów, którzy mieli z poza ścian wychodka na tym placu rzucać kamieniami na huzarów.

Dziś przesłuchiwano najpierw policyanta Z a l i p s k i e g o, który aresztował Boraczka i Czopa za rzucanie kamieniami. U Czopa znalazł w kieszeni 7 kamieni, a Boraczkowi odebrał kawałek ołowiu, wyłamany z okna strażnicy.

O s k. B o r a c z e k. A dlaczego pan nie mówi, żeście panowie potem mnie za darmo nabili, jeden z jednej strony, drugi z drugiej? I że pan mi wziął 2 zł. a oddał tylko 70 ct.?

Świadek wyjmuje swoją urzędową notatkę i czyta z niej: U aresztowanego Boraczka znaleziono szelki, kawałek ołowiu i pugilares z kwotą 70 ct. Na to są świadkowie.

O s k. A ja mam świadków na to, żem krzyczał, że pan mi zabrał 2 zł.!

P r z e w. A! Na to możecie mieć świadków, żeście krzyczeli!

Zapytywany o różne szczegóły pierwszego ataku huzarów na placu Strzeleckim, zeznaje świadek Zalipski między innemi, że huzarzy wjechali nie na sam plac, ale na drogę przezeń prowadzącą, rozdzielając tłum na dwie części, z których jedna cofnęła się na plac na prawo, a druga na trotoar. Środek placu był wolny, bo z powodu słupków huzarzy nie mogli zająć większej przestrzeni. Pod konie wpadła tylko jedna kobieta, którą na śmierć stratowano.

Świadek K r o p a c z e k, starszy komisarz policyi, do godziny 11 rano był w prezydyum policyi i wysłuchiwał raportów. Po 11-ej relacyonował p. Wenc telefonicznie, że opróżniwszy plac Strzelecki z tłumu, cofnął się z plutonem huzarów na strażnicę i że pluton ten, mając poranionych żołnierzy i konie, jest już do dalszej akcyi niezdolny. W kwadrans potem zatelefonowano, że tłum wybija okna. Wówczas świadek otrzymał polecenie wziąć nowy pluton huzarów z koszar przy ulicy Czarnieckiego i razem z nim udał się na plac Strzelecki.

Tak też świadek uczynił; w drodze spotkał komisarza Janickiego, który z połową kompanii piechoty wdzierał się w ul. Grodzickich, gdzie tłum wybijał szyby. Przed strażnicą pluton huzarów z przyczyny, o której się świadek dopiero później dowiedział, nie czekając jego wezwania, ruszył w galop i zostawił go z dorożką w tyle na ul. Podwale. Świadek krzyknął na swego dorożkarza, aby również jechał galopem, ale w chwili, gdy dojeżdżał na miejsce, gdzie stał letni teatr, lunął grad kamieni. Rzucano ogromnymi głazami; świadek dojrzał, jak kilku huzarów skręcających na pl. Strzelecki, spadło z koni. Dorożkarz wzbraniał się jechać na pl. Strzelecki i skręcił w ul. Skarbkowską, mówiąc do świadka: „Proszę pana, ja tam nie pojadę, bo tam moja i pańska śmierć!“. Za dorożką leciał grad kamieni i złamał jedno skrzydło u dorożki. Po przebyciu ul Skarbkowskiej usiłował świadek wjechać na plac ulicą Grodzickich, ale była ona tak zatłoczoną tłumem, że nie sposób było przezeń się przecisnąć.

Świadek dał wówczas dorożkarzowi rozkaz wjechać na ul. Krakowską, ale i z tej strony nie było dostępu na plac, wysiadł więc z dorożki i pieszo udał się na miejsce. Wchodząc na plac, ujrzał żołnierzy kom. Janickiego, tudzież policyantów, rozpędzających resztki demonstrantów. Żołnierze otoczyli kordonem aresztowanych. Co się tyczy huzarów, to ci uwijali się w górze od strony ul. Benedyktyńskiej i teraz dopiero dowiedział się świadek, że huzarzy wyprzedzili go poprzednio dlatego, bo porucznikowi plutonu zdawało się, iż ktoś z daleka daje znak chustką, aby pluton śpieszył na pomoc, wkrótce tłum na pl. Strzeleckim od strony ul Grodzickich przybrał znowu groźną postawę, kapitan z własnej inicyatywy kazał trąbić sygnał do strzału i wymierzyć karabiny. Ale ani ten sygnał, ani pozycya wojska nie wstrzymały demonstrantów, mimo to wojsko nie strzelało. Pierwsze strzały padły dopiero od strony ul. Benedyktyńskiej, a dali je huzarzy. Świadek spytał porucznika huzarów dlaczego tak postąpił, na to on odparł, że oddział został napadnięty (ist thätlich insultirt worden), obrzucono go z dachów i okien kamieniami, nadto ze strony demonstrantów padł jeden strzał, więc postępując według regulaminu, kazał dać ognia. Trzech z tłumu ciężko wówczas raniono. Zaraz potem dostał świadek polecenie udać się do namiestnika i zdać mu raport o zajściach; po drodze usłyszał strzały, które padły koło kościółka Panny Maryi Śnieżnej.

Obr. dr. S c h l e i c h e r: Jakie zadanie ma asystencya wojskowa dodana policyi do pomocy? Czy wolno było porucznikowi huzarów na własną rękę rozpoczynać jakieś kroki?

Ś w i a d e k. Na to pytanie odpowiedzieć mogą władze wojskowe. O ile mi wiadomo, z chwilą, kiedy oddział wojskowy jest „czynnie insultowany“, komendant jego ma prawo działać już na własną rękę bez zapytywania policyi.

O b r o ń c a. Opowiedział pan, że na pl. Strzeleckim koło ul. Benedyktyńskiej widział pan 3 huzarów, którzy zsiedli z koni i celowali ze swych karabinów. Czy był jaki powód do tego?

Ś w i a d e k. Nie wiem.

O b r o ń c a. Owszem, wiedział pan o tem w śledztwie, gdzie pan zeznał, że pan nie widział ani powodu, ani celu tych strzałów. Proszę pana przewodniczącego o odczytanie tego ustępu z zeznań śledczych.

P r z e w. Ależ naturalnie, naturalnie, odczytam je. Oto ów ustęp: „Obróciwszy się, ujrzałem trzech spieszonych huzarów strzelających. Ponieważ nie widziałem ani powodu, ani celu strzałów, udałem się do dowodzącego porucznika z zapytaniem o wyjaśnienie“ itd.

O b r. Dziękuję, ale ironiczna uwaga, którą pan przewodniczący poprzedził to odczytanie, zupełnie nie była na miejscu.

P r z e w. Upominam pana obrońcę, by mego zachowania się nie kwalifikował i zastrzegam się przeciw epitetowi „ironiczny“. W razie gdyby się to powtórzyło, będę zmuszony postąpić ostrzej.

O b r. A ja będę zmuszony złożyć obronę, którą i tak prowadzę wśród ciężkich warunków. Przyznać się muszę wyraźnie, że takie uwagi działają na mnie denerwująco — wszak my nie od parady stawiamy pytania, chodzi nam o wyświetlenie objektywnej prawdy. Proszę o pozwolenie zadawania dalszych pytań.

Przewodniczący ze swej strony upomina również obrońcę o to, by nie krytykował przewodniczącego, gdyż inaczej odebraną mu będzie obrona — poczem pozwala na dalsze pytania.

Ostatecznie wytłómaczył kom. Kropaczek, że w śledztwie słów „nie widziałem ani powodu ani celu strzałów“, użył w tym sensie, że na chwilę nie mógł się zoryentować w sytuacyi, gdyż jak się potem pokazało, demonstranci rzucali kamienie z ukrycia.

Na inne pytania obrońców stwierdza komisarz Kropaczek, że przywódzcy robotników działali na tłumy uspokajająco, ale mimo to wśród tłumów od rana już panowała tendencya do ekscesów i jakby postanowienie popełnienia ich koniecznie. Jeszcze dzień przedtem rozchodziły się głuche wieści, które kazały się spodziewać zamieszek i byłoby do nich przyszło może nawet bez kolizyi z kompanią kapitana Wesselyego.

Zeznawał potem komisarz Ł y s a k o w s k i, który również interweniował raz z wojskiem podczas rozruchów, ale były to już momenty późniejsze.

Świadek ajent P r z e s t r z e l s k i zeznaje w sprawie kilku oskarżonych, których aresztował za rzucanie kamieniami i za opór, stawiany policyi.

Zeznania dalszych świadków tyczą się już także tylko poszczególnych aresztowanych i obracają się około drobnych faktów: czy świadek mógł widzieć tego lub owego ekscedenta, rzucającego kamienie, gdzie go widział, czy znaleziono przy aresztowanym kamienie, czy nie itp. Najciekawsza część rozprawy już minęła.

Godzina 1, rozprawa trwa dalej.

KRONIKA.

Lwów 20 sierpnia.

P. Namiestnik Piniński wyjechał wczoraj w sprawach urzędowych na kilka dni do Wiednia.

Wiadomości urzędowe. Minister rolnictwa zamianował asystenta leśnictwa Stanisława Lisikiewicza zarządzcą lasów i dóbr skarbowych, a elewów leśnictwa Michała Parylaka i Maksymiliana Glińskiego asystentami leśnictwa.

Konkurs ogłasza Urząd probierczy we Lwowie na posadę cechowniczego. Podania do 15-go września.

Do Rymanowa przybyło w czasie od 1 do 15 sierpnia br. rodzin 69, osób 132.

Z izby sądowej. Wczoraj rozpoczęła się w Wadowicach rozprawa przeciw 47 włościanom z Sopotni wielkiej, oskarżonym o gwałt publiczny w sporze z zarządem dóbr arcyksięcia Stefana. Na początku rozprawy oświadczył obrońca oskarżonych, dr. Orłowski z Wiednia, iż wystąpi z ciężkiemi zarzutami przeciw zarządowi dóbr arcyksiążęcych, lecz nie będą się one odnosić do osoby arcyksięcia Stefana, któremu przyznaje wielkie zasługi.

Ślub. Dnia 30 bm. odbędzie się w Krakowie ślub panny Jadwigi Talowskiej, córki architekta i profesora Politechniki lwowskiej, p. Teodora Talowskiego, z p. Wilhelmem Ripperem, urzędnikiem Banku hipotecznego.

Wycieczka włościan do Krakowa. W poniedziałek rano przybyła do Krakowa grupa włościan i włościanek z Oleska, składająca się z 80 osób i bawiła tam przez dwa dni celem zwiedzenia narodowych pamiątek. U stóp pomnika Adama Mickiewicza złożyli wycieczkowcy wieniec z plonów polnych. Dziś udali się oni do Kalwaryi Zebrzydowskiej na odpust jubileuszowy, jutro zaś wieczorem powrócą przez Lwów do Oleska. Wycieczkę zainicyowały panie Ujejska i Demlówna z Oleska, a przewodnictwo objął tamtejszy wikary x. dr. Widacki.

Regulacya Wisły. W Gdańsku rozpoczęły się wczoraj pod przewodnictwem starszego prezydenta Gosslera obrady międzynarodowej konferencyi w sprawie technicznych kwestyj przy budowlach wodnych, między innemi w sprawie regulacyi Wisły na granicy prusko-rosyjskiej. W konferencyi biorą udział zastępcy rządów: Prus, Austro-Węgier i Rosyi.

Powrót kolonii wakacyjnej dziewcząt z Morszyna nastąpi w sobotę dnia 23 bm. Rodzice mają się zgłosić po dziatwę swą na głównym dworcu we Lwowie.

Statystyka strejków rolnych. Dr. Emil Schmidt, adwokat w Tarnopolu, zamierza wydać statystykę tegorocznych strejków rolnych na Podolu, ażeby w ten sposób stworzyć podstawy dla dyskusyi publicznej, opartej na autentycznych i systematycznie zebranych cyfrach. W tym celu rozesłał on do wszystkich zarządów dóbr w powiatach: borszczowskim, czortkowskim, husiatyńskim, skałackim, tarnopolskim, trembowelskim, zaleszczyckim i zbaraskim kwestyonaryusz, zawierający 58 pytań, i uprasza właścicieli ziemskich, ażeby zechcieli odpowiedzieć na te pytania i wypełnione kwestyonaryusze odesłali mu jak najrychlej. W razie gdyby

który z siemian we wspomnianych powiatach nie otrzymał tego kwestyonaryusza, zechce zwrócić się osobiście lub listownie do dra Emila Schmidta w Tarnopolu. Wydanie takiej statystyki uważamy za rzecz bardzo pożyteczną.

Z teatru. Nasza trupa operetkowa po pięciotygodniowym pobycie w Krakowie powróciła przedwczoraj do Lwowa i jutro, tj. we czwartek, rozpoczyna przedstawienia ulubioną operetką Gust. Kerkera „Piękna z Nowego Jorku" z udziałem pań Kliszewskiej, Miłowskiej, Kasprowiczowej, Okońskiej i Poreckiej, pp. Okońskiego, Lelewicza, Kosińskiego, Kiczmana, Jarońskiego i Paszkowskiego w głównych rolach. W piątek dane będą „Trzy życzenia" z panną Miłowską w roli Lotti. W sobotę miłutka „Weronika" z panną Kliszewską w roli tytułowej. W niedzielę „Wesoła dwójka", w poniedziałek „Simplicyusz" z panną Porecką w roli tytułowej.

Pierwsza inżynierka Polka. Panna Kaniewska z Połtawy ukończyła instytut inżynierów komunikacyi w Paryżu (*Ecole des ponts et chaussées*). Jest to pierwsza kobieta, która otrzymała stopień inżynierski.

Wystawa w Düsseldorfie przedmiotów z dziedziny przemysłu, sztuki i nauki otwartą została przed paru tygodniami i przedstawia się podobno bardzo imponująco. Dział maszyn ma być lepiej obesłany niż na ostatniej wystawie paryskiej, w pawilonie zaś fortepianów znajduje się fortepian fabryki Manda z Koblencyi, którego nowy system w konstrukcyi wywołał dużo zajęcia w świecie muzycznym. Jeden z Polaków, który był niedawno na tej wystawie w Düsseldorfie, pisze w *Kuryerze Poznańskim* o tym fortepianie, co następuje:

„Jaka w nim siła tonu, ile śpiewu i czarującego, przekonaliśmy się na koncercie, który tu na fortepianie Manda przed dwoma tygodniami urządziła panna Halina Drygas, znana zaszczytnie w świecie muzycznym pianistka z Poznania. Huczne oklaski wywołała gra jej, a myśmy opuścili salę z tem zadowoleniem, że prawdziwy talent i Niemcy ocenić umieją — byle nie zaślepieni i zagłuszeni hakatyzmem".

Polski misyonarz w Afryce. W Warszawie bawił w ostatnich dniach niezwykły gość. Był nim Rudolf Nowowiejski, student teologii, braciszek ze zgromadzenia misyjnego Ojców Białych. Jest on człowiekiem młodym, a już odbywał długie studya. Urodził się w Wartemborku w Warmii i tam uczęszczał do gimnazyum, później spędził cztery lata na studyach misyonarskich w Antwerpii, dwa lata u misyonarzy w Isondin we Francyi, rok w Monastyrze; później kształcił się w Holandyi, to znowu przez półtora roku w Tewrinie; w jesieni podążył młody teolog do St. Louis de Carthage w Tunisie, aby po ukończeniu nauk przywdziać sukienę Białych Ojców francuskich i rozpocząć pracę misyonarską. W zgromadzeniu tych Ojców, czy to francuskiem, jest on jedynym Polakiem, ale jako poddany niemiecki, musi przyjąć obywatelstwo francuskie, bo Ojcowie Biali w niemieckich posiadłościach zgromadzenia nie przyjmują. Nowowiejski włada, oprócz języka polskiego, doskonale językami niemieckim, francuskim, arabskim i kiswahelskim. Ojcowie Biali w Afryce przyodziewają strój biały arabski i turban czerwony — w powołaniu ich nic zarzuty tylko różaniec na szyi, gdyż zresztą, narażeni często na trudy niebezpieczeństwa, noszą broń ze sobą, a władania nią uczą się w seminaryum w Kartaginie. Ojcowie Biali niosą z zapałem światło nauki pomiędzy dzikich pogan, składają nieraz w ofierze życie za prawdę i religię — a szerząc wiarę, niosą kulturę chrześcijańską i wpływ polityczny francuski do Afryki. I oto, za to ich poświęcenie gabinet republikański ex-sędzia p. Combes mści się na kongregacyach i zamyka szkoły, w których Siostry zakonne uczą moralności i poszanowania cnoty...

Spór z towarzystwem asekuracyjnem. Wiliam Archibald, bogaty Brazylijczyk, przyjechał na dłuższy pobyt do Paryża. Wynajął ładne mieszkanie na bulwarze Kapucynek i urządził się w nim wygodnie. Przywiózł ze sobą trzy tysiące cygar hawańskich, które chciał ubezpieczyć od ognia i udał się w tym celu do pierwszego lepszego Towarzystwa asekuracyjnego.

— Przedstawił się jednemu z urzędników.

— Czy ubezpieczacie? — zapytał.

— Tak, panie — odpowiedział urzędnik. — Towarzystwo nasze z kapitałem pięćdziesięciu milionów franków, ubezpiecza od ognia ruchomości i nieruchomości, od eksplozyi gazów, od piorunów, takiego szkody bezzwłocznie, reguluje rachunki natychmiast...

— O to mi właśnie chodzi — przerwał Brazylijczyk.

— Towarzystwo nasze — ciągnął dalej gorliwy urzędnik — jest najpoważniejszem i z każdym dniem zwiększa się liczba jego klientów.

— Ubezpiecza wszystko, co może się spalić? — zapytał Brazylijczyk.

— Niezwykle, ubezpiecza od ognia, ale także od gradu, kradzieży, nieszczęśliwych wypadków przy pracy i na kolei. Towarzystwo wypłaciło od chwili założenia przeszło sześćdziesiąt milionów odszkodowania. Pan zapewne chce ubezpieczyć swój majątek?

— Nie odpowiedział Brazylijczyk — ubezpieczyłem go w Ameryce; mieszkam w Brazylii.

— Rozumiem — rzekł urzędnik — posiada pan wielkie stada bydła i te pan chce ubezpieczyć.

— Moje stada ubezpieczone w Australii; podróżuję...

— Zgadza się pan ubezpieczyć? ubezpieczyć się od wypadków na kolei, utonięcia...

— Jestem ubezpieczony w Anglii.

— Chce się pan może ubezpieczyć na życie, ażeby wdowie zapewnić po swojej śmierci pewną sumę.

— Jestem kawalerem.

— Możemy ubezpieczyć od kradzieży.

— Zbyteczne.

— A więc może pan będzie łaskaw powiedzieć mi, co pan ma zamiar ubezpieczyć?

— Byłbym to już zrobił, gdyby mi pan był pozwolił mówić.

— Może pan być przekonanym o całej naszej gotowości służenia panu, zapewniam pana.

— Chcę ubezpieczyć od ognia trzy tysiące cygar hawańskich.

— Cygar — rzekł zdziwiony urzędnik — wogóle nie ubezpieczamy cygar.

— Jeżeli panowie nie możecie, pójdę gdzieindziej, — powiedział Brazylijczyk.

— Proszę tego nie robić; ubezpieczymy pańskie cygara. Towarzystwo ubezpiecza wszystko. Na jaką sumę?

— Razem z cłem kosztują mnie trzy tysiące franków. Na tyle pan je ubezpieczy?

— Dobrze. Każę zredagować policę i jutro ją panu doręczę.

Nazajutrz zgłosił się do Brazylijczyka urzędnik, przeliczył cygara i doręczył mu policę ważną na dziesięć lat.

Brazylijczyk potwierdził odbiór policy i wypłacił premię.

Po załatwieniu tych formalności, zabrał się Brazylijczyk do cygar.

Były wyborne. Częstował nimi swoich przyjaciół.

— Palcie, proszę was — mówił — ile chcecie, są ubezpieczone.

Po upływie ośmiu miesięcy spostrzegł się Wiliam Archibald, że nie było już ani jednego cygara. Poszedł do Towarzystwa.

— Przed ośmiu miesiącami — rzekł, zwracając się do jednego z urzędników — ubezpieczyłem trzy tysiące cygar.

— Bardzo pan dobrze zrobił — odpowiedział uprzejmie urzędnik.

— Tembardziej — rzekł Brazylijczyk — że spaliły się wszystkie i przychodzę prosić o wypłacenie mi gwarantowanej sumy.

— Trzeba zrobić zaraz deklaracyę. Jak dawno się spaliły?

— Ostatnie wczoraj.

— Nie spaliły się wszystkie naraz?

— Nie, jedno po drugiem.

— To szczególne; nie byliśmy zawiadomieni o pożarze; wyślemy inspektora do pana w celu skonstatowania szkody.

— Bardzo dobrze — powiedział, wychodząc Brazylijczyk.

Wieczorem tego samego dnia zjawił się u niego inspektor Towarzystwa.

— Czy cygara spaliły się do szczętu? — zapytał.

— Do szczętu.

— Raczy mi pan pokazać popiół.

— Wyrzuciłem go.

— Należało czekać na moje przybycie.

— Mogę panu udowodnić, że się cygara spaliły — zapewniał Brazylijczyk — mogą poświadczyć: odźwierny, właściciel, moi przyjaciele.

— Jakże powstał ogień? Czy cygara były umieszczone przy piecu?

— Gdzież tam — rzekł Brazylijczyk — wypaliłem je.

— Wypalił je pan i Towarzystwo ma panu za nie zapłacić! — zawołał inspektor. — Pan zapewne żartuje?

— Wcale nie żartuję. Ubezpieczyłem moje cygara od ognia, spaliły się, musicie mi więc za nie zapłacić. Pobraliście premię; nie trzeba było przyjmować ubezpieczenia.

— Nie jesteśmy tutaj w Brazylii — zauważył inspektor.

— Myśl sobie pan, co się panu podoba — rzekł Brazylijczyk — a ja panu zapowiadam, że jeżeli mi nie wypłacicie odszkodowania, to wam proces wytoczę

— Wytaczaj pan — odparł inspektor.

Brazylijczyk oddał swoją sprawę w ręce adwokata, który zapozwał Towarzystwo przed trybunał handlowy. Adwokat bronił z zapałem sprawy swego klienta.

— Pretensya mojego klienta jest najzupełniej usprawiedliwiona! — wołał. — Towarzystwo ubezpieczyło cygara od ognia; spaliły się, powinno za nie zapłacić. Towarzystwo nie robiło żadnych zastrzeżeń w policy. Panowie sędziowie! Odwołujemy się do waszej znanej sprawiedliwości: mój klient jest cudzoziemcem, przybył do naszej pięknej Francyi, którą kocha, ufny w prawość jej mieszkańców; nie zechcecie żeby wracał do swego kraju ze złem o nas wyobrażeniem. Co do Towarzystwa, jego złe zamiary są widoczne; postawię tylko jedno pytanie: czy cygara się spaliły, czy nie?

Zastępca Towarzystwa bronił się słabo, starając się tylko udowodnić, że cygar wypalonych nie można uważać jako ległych nadzwyczajnemu wypadkowi.

— Panowie — odparł adwokat Brazylijczyka — zwracam waszą uwagę, że klient mój nie zna zwyczajów, panujących w naszym kraju. Rzeczą Towarzystwa było objaśnić go, poczynić swoje zastrzeżenia. Klient mój, ufny w waszą prawość, nie wahał się odwołać do sprawiedliwości. Nie zapomnijcie panowie, że reprezentujecie Francyę i wyrok wasz będzie słusznem zadośćuczynieniem jego zupełnie uzasadnionej pretensyi.

Trybunał, przyznając racyę Brazylijczykowi, skazał Towarzystwo na wypłacenie mu odszkodowania za spalone cygara.

Wychodząc z trybunału, zwrócił się zastępca Towarzystwa do adwokata Brazylijczyka.

— Wygrałeś pierwszą sprawę, kochany kolego — rzekł tonem szyderczym — ale będziemy mieli drugą...

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Brazylijczyk.

— Że teraz Towarzystwo wytoczy panu proces.

W trzy dni później, Wiliam Archibald otrzymał wezwanie do prokuratora. Poszedł, bardzo zdziwiony. Prokurator odezwał się do niego surowo:

— Jesteś pan oskarżony przez Towarzystwo „La Lune", że rozmyślnie spaliłeś zaasekurowany towar w celu podjęcia premii, przez co dopuściłeś się oszustwa. Co pan masz na swoje usprawiedliwienie?

— Nie rozumiem nic, nie wiem o co chodzi — rzekł Brazylijczyk — muszę się poradzić mego adwokata.

-- Zostawiam pana na wolnej stopie — powiedział po namyśle prokurator — pod warunkiem, że stawisz się w sądzie na każde wezwanie.

Brazylijczkk pobiegł do swego obrońcy.

— To już trudniejsza sprawa — powiedział mu adwokat — tym razem Towarzystwo ma słuszność. mogą pana skazać na przymusowe roboty.

— Także coś — zawołał Brazylijczyk. — Pędzę do Towarzystwa, palnę w łeb dyrektorowi i wszystkim urzędnikom.

— Nie, u nas to nie uchodzi.

— Wyjeżdżam natychmiast do Rio de Janeiro.

— Strzeż się pan, wyślą listy gończe za panem.

— Cóż robić?

— Trzeba pójść do dyrektora Towarzystwa i prosić go, żeby cofnął skargę.

Brazylijczyk posłuchał rady. Towarzystwo kazało zwrócić sobie wypłacone odszkodowanie z wysoką nadwyżką.

— Dziwny ten wasz kraj — powiedział Brazylijczyk adwokatowi — w jednym i tym samym procesie naprzód przyznają mi słuszność, a następnie chcą mnie skazać na przymusowe roboty.

Roztargnienie literatów. Paryska *Revue* przytacza kilka zabawnych przykładów roztargnienia słynnych uczonych i literatów. Diderot nie pamiętał nigdy prawie godziny, dnia, ani miesiąca, wreszcie imion osób, z któremi rozmawiał; Stuart Mill na ulicy wyglądał jak obłąkany i ciągle wpadał na przechodniów; Balzac strzegł się bardzo, aby nigdy nie wpatrywać się w osoby, spotykane na ulicy, gdyż natychmiast poczynał mimowoli przedrzeźniać ich chód i ruchy. W rozmowie zachowywał się jak człowiek głuchy i nieprzytomny, gdyż nigdy nie słuchał tego, co mu mówiono, pracując myślą nad swemi powieściami. Ale najbardziej roztargnionym był niewątpliwie Ampere, znakomity fizyk i matematyk. Chciał on raz przejechać się dorożką; w chwili jednak, gdy podchodził do powozu przyszła mu do głowy jakaś nowa kombinacya matematyczna. Wyciągnął więc z kieszeni kawałek kredy i z zapałem począł kreślić cyfry na pudle powozu. Doróżkarz zaciął konie i począł uciekać od Amperea, jak od waryata. Wychodząc kiedyś z domu, napisał on na drzwiach kredą: „Ampere wyszedł, widzieć się z nim można dopiero wieczorem". Kiedy wrócił po godzinie, przeczytał ów napis na drzwiach, a biorąc siebie za kogoś innego, wyszedł na miasto i spacerował bez żadnej potrzeby aż do zmierzchu.

Analizując przyczyny tego roztargnienia uczonych i literatów, autor artykułu *Revue* upatruje je w ześrodkowaniu myśli na jednym przedmiocie, w żywej wyobraźni, która stwarza światy nowe, bądź barwne, pełne ruchu i życia w mózgach poetów i powieściopisarzy, bądź też pełne oderwanych teoryi, w jakich żyją uczeni i myśliciele. To skupienie myśli powoduje, że przed oczyma tych ludzi świat i życie realne przesuwają się jak senne marzenie. Dlatego też Göthe mógł zagłębiać się w badanie teoryi barw przy odgłosach wrzącej bitwy, a Hegel ani na chwilę nie przerwał swej pracy naukowej podczas bitwy pod Jeną.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 14. w poł. + 22 R. Bar. 764. Spada. Pogodnie.

Zdarzenie z r. 1809 we Francyi (w czasie wojen napoleońskich).

Raz na potrzeby wojenne
W pewnem państwie brakło złota.
Rząd przedmioty kazał cenne,
Złote kielichy i wota
Z kościołów w mennicy złożyć
I na pieniądz je przetworzyć.
Złoto, srebro poznoszono
na pieniądz przetopiono.
Widząc to złodziej niecnota,
Srebra zapragnął i złota —
I w najbliższym mu kościele
W nocy ukradł złota wiele.
Potem na kościoła ścianie
Skreślił węglem to zeznanie:
„Rząd ze słońcem,
„Ja z miesiącem;
„Rząd zabiera złoto we dnie,
„Bo się czuje w mocy;
„Moje siły są pośledni,
„Kradnę przeto w nocy".

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Jutro we czwartek po raz 16ty „Piękna z Nowego Jorku" operetka w 3 aktach (5 odsł.) Hugona Mortona, muzyka G. Kerkera. — W piątek po raz 16ty „Trzy życzenia" operetka w 3 aktach Krenna i Lindaua muzyka Karola Ziehrera. — W sobotę po raz 8my „Weronika" operetka w 3 aktach A. Messagera. — W niedzielę po raz 25ty „Wesoła dwójka" operetka w 3 aktach Krenna i Lindaua, muzyka K. Ziehrera. — W poniedziałek po raz 6ty „Simpliciusz" operetka w 3 aktach J. Straussa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 19 sierpnia.

(Z). Ponowna konferencya obu prezesów gabinetów w sprawie ugodowej, odbędzie się w piątek w Wiedniu. W sferach giełdowych utrzymują, że różnice jeszcze są tak znaczne, iż nie ma nawet mowy o tem, aby na piątkowej konferencyi mogło przyjść do zupełnego porozumienia i że zapewne obaj premierzy jeszcze raz odwołają się do Cesarza. Niepomyślne wersye krążyły na giełdzie także o przyszłorocznym budżecie państwowym. Mówiono mianowicie, że minister finansów jest tak twardym w przyzwalaniu na powiększenie wydatków poszczególnych ministerstw, że o każde tysiąc koron trzeba staczać zaciętą walkę. Jeden z ministrów np. miał zażądać powiększenia wydatków swego działu o 18 milionów koron, a minister finansów zgadza się tylko na 500.000, zasłaniając się tem, że inaczej nie potrafi utrzymać równowagi w budżecie. Tymi dniami odbędzie się posiedzenie rady ministrów, poświęcone wyłącznie budżetowi. Już to pod wpływem tych wersyi, już to skutkiem pogorszenia się sytuacyi na targach zagranicznych osłabiła się dziś znacznie tendencya naszej giełdy. Tylko akcye kolejowe trzymały się dosyć silnie, a zwłaszcza tych kolei, których liniami odbywa się ruch eksportowy.

Z przemysłowych walorów na pierwszy plan wysunęły się akcye naftowe, gdyż przyjście do skutku kartelu uważać można już jako pewne. Posiedzenie w tej sprawie odbędzie się 26 b. m. w Wiedniu. Na razie wielkie rafinerye, nie czekając aż kartel oficyalnie zostanie zawiązany, już podwyższyły cenę nafty o koronę na 100 kilogramach.

Oczekiwany tak niecierpliwie przez sfery giełdowe półroczny bilans austryackiego Zakładu kredytowego został nareszcie ogłoszony. Wykazuje on czysty zysk w sumie 4,286.700 koron. W sumie tej mieści się już zysk z interesów konsorcyalnych, rozwikłanych przed 30 czerwca b. r.

Dzisiejszy bilans tygodniowy banku austro-węgierskiego wykazuje dalszy napływ złota w sumie $11^1/_2$ miliona koron, z tego $8^1/_2$ miliona w monetach amerykańskich.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 687·00, węg. Zakł. kredyt. 730·00, Anglobanku 277·50, Unionbanku 539·50, Länderbanku 419·50, Bankvereinu 454·50, Bodencredit 928·00, Gal. Banku hip. 540·00, Statsbahny 718·00, Lombardy 69·00, Kol. Elbethal 465·50, Północnej 5680, Czerniowieckiej 567·50, Alpiny 394·00, Rima Muranyi 496·00, Praskiego Tow. żel. 1521, Fabryki broni 329·00, Tureckie tytoniow. 296·00, Oblig. węg. indemniz. 97·70, Renta majowa 101·80, Austr. renta koronowa 100·05, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 160·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·25, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·20, Losy tureckie 111·00, Marki 117·05, Ruble 252.75.

§ **Wiedeń** 20 sierpnia. Stan chmielu w połowie sierpnia: W Austryi górnej zimno i deszcze nie sprzyjały rozwojowi chmielu. Zbiór, jak dotąd można wnosić, będzie dobry, a rozpocznie się w początkach września. W Styryi zbiór po części już się rozpoczął i będzie ogółem zadawalający. W Czechach z powodu zimna w ostatnich dniach stan pogorszył się. Zbiór odbędzie się o wiele poźniej, niż w roku poprzednim. Na Morawii chmiel bardzo powoli się rozwijał i przedstawia się w niektórych okolicach bardzo słabo. Zbiór będzie mniejszy niż w roku zeszłym: W Galicyi w wielu okolicach stan chmielu jest niekorzystny w skutek licznego pojawienia się rdzy.

§ **Wiedeń** 20 sierpnia. Stan zasiewów, według sprawozdań ministerstwa rolnictwa z połowy sierpnia, przedstawia się jak następuje: Żniwa ogółem od końca lipca w skutek niepogody doznały zwłoki i oprócz okolic południowych w żadnym jeszcze kraju nie są ukończone. Zbiory ucierpiały co do jakości skutkiem ostatnich deszczów, zresztą będą one zadowalające. Żyto w Dolnej i Górnej Austryi średnio dobre, po największej części już zebrane. W krajach sudeckich powinno żyto dać średni zbiór. Żniwa pszenicy rozpoczęto w dniach ostatnich. Z wielu stron doniesiono o śniedzi. W krajach alpejskich żniwa stosunkowo postąpiły, zbiór zadowalający. W górnych Czechach zbioru jeszcze nie rozpoczęto, a jest nadzieja na zbiór zadowalający. Kukurudza w południowym Tyrolu rokuje dobry zbiór i poprawiła się znacznie w dniach ostatnich. Kartofle ucierpiały w wielu miejscowościach skutkiem nadmiernej wilgoci, spodziewać się jednak jeszcze należy dobrych zbiorów. Buraki pastewne i cukrowe dobre lub średnio dobre. Kapusta dobra. Winogrona skutkiem deszczów opóźniły się w rozwoju. Zbiór tegoroczny ilościowo będzie prawdopodobnie zadowalający, potrzebuje jednak pogody, aby jakościowo odpowiedział oczekiwaniom.

Sprawozdanie targowe Lwowskiej izby kupieckiej. Lwów, 19go sierpnia. (Ceny w walucie koronowej za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 7·15 do 7·30, średnia 0·00 do 0·00, żyto prima 6·10 do 6·25, średnie —·— do —·—, jęczmień browarny 5·75 do 6·00, pastewny —·— do —·—, owies pański 7·50 do 7·75, chłopski —·— do —·—, kukurydza prima 5·00 do 5·25, średnia 0·00 do 0·00, rzepak zimowy nowy 9·50 do 9·75, len —.— do —·—, siemie lniane 9·— do 9·25, siemię konopne 8·— do 8·25 koniczyna czerw. prima 48·— do 50·—, średnia —·— do —·—, koniczyna biała prima 65·— do 70·—, średnia —·— do —·— szwedzka 00·— do 00·— tymotka —·— do —·—, anyż okrągły 00·00 do 00·00 płaski 00·00 do 00·00, groch do gotowania 8·— do 8·50, zielony 7·— do 7·25, bobik koński nowy 4·75 do 5·00, wyka nowa 5·50 do 5·75 otręby pszenne 3·50 do 3·75, żytne 4·00 do 4·10, chmiel —·— do —·—

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: Husiatyn-Stanisławów kontyngent 33·25 do 33·50, nadkontyngent 15·50 do 15·75; Tarnopol-Brody kontyngent 33·75 do 34·00, nadkontyngent 16·00 do 16·25; Sokal-Jarosław kontyngent 34·25 do 34·50, nadkontyngent 16·25 do 16·50; Rafinerye Lwów kontyngent 36·— do 36·25, nadkontyngent 17·50 do 17·75.

Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr procent.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze dzisiejsze poranne*).

Rzym 20 sierpnia. „Ajencya Stefaniego" donosi, że król włoski w podróży swej w przejeździe przez Szwajcaryę przyjmie deputacyę Rady związkowej. Przyjęcie to będzie miało charakter oficyalny i nastąpi 26 bm. w miejscowości Göschenen.

Haga 20 sierpnia. Przybyłych tu dowódzców boerskich powitała ludność z wielkim zapałem. Ludwik Botha, dziękując imieniem generałów za serdeczne przyjęcie, rzekł, że jeszcze nie nadszedł czas, w którymby mogli powiedzieć wszystko, co im na sercu leży, ale prawdopodobnie niebawem ogłoszą to drukiem.

Homburg v. der Höhe 20 sierpnia. Wczoraj odsłonięto tu pomnik cesarzowej Fryderykowej w obecności niemieckiej pary cesarskiej, następcy tronu, ambasadora austro-węgierskiego i licznych dygnitarzy. Cesarz Wilhelm złożywszy u stóp pomnika wieniec, odczytał życiorys cesarzowej Fryderykowej, podnosząc jej zasługi jako protektorki sztuk pięknych i nauk.

Aleksandrya 20 sierpnia. W czterdziestu miejscowościach, w których panuje cholera, zachorowało od 15 lipca 2.238 osób, zmarło 1.696. Tylko niewielu Europejczyków padło ofiarą epidemii. W Aleksandryi zapadło na cholerę ogółem 10 osób. Usiłowania władz, zmierzające do stłumienia epidemii, są utrudnione, ponieważ ludność wiele wypadków zasłabnięcia zataja.

(*Depesze popołudniowe*).

Wiedeń 20 sierpnia. Adwokat tutejszy dr. Antoni Löbl, były poseł na Sejm dolno austryacki został dziś uwięziony, jako podejrzany o oszustwo, sprzeniewierzenie i wymuszenie.

Praga 20 sierpnia. W centralnej stacyi dla oświetlenia fabryki żelaza w Kłodnie wyrządził wczorajszy pożar szkodę na przeszło 200.000 koron.

Berlin 20 sierpnia. Za obrazę p. Tiedemanna z Jeziorek i hakatystów skazano odpowiedzialnego redaktora *Kuryera Poznańskiego* na 200 m. grzywny.

Poznań 20 sierpnia. Ogółem ośm pism polskich zakazano rozpowszechniać w Niemczech, jako niebezpieczne dla państwa: *Czas, Nową Reformę, Przegląd wszechpolski* i *Dyabła* w Krakowie, *Dziennik polski, Tekę* i *Gazetę Narodową* we Lwowie, wreszcie *Kraj* petersburski. Odebrano im — jak wiadomo — debit pocztowy na 2 lata.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 19 sierpnia.

Marki 117.10, renta majowa 101.80, węg. renta koronowa 97.90, Akcye: austr. zakł. kredyt. 684.—, węg. zak. kred. 729.00, anglobanku 277.00, unionbanku 539.—, bankvereinu 454.50, länderbanku 420.50, kolei państw. 718.00, lombardy 69.00, akcye kolei Elbethal 466.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 000.00, alpiny 393.50, Rima Muranyi 496.00, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 111.00, ruble 253·00. Usposobienie spokojne.

Wiedeń 20 sierpnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	266.—
" " " " " " 1889	3%	263.—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	205.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	254·80
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	90.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		110·90

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 428.—, Clary 40 zł. m. k. 195.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 71.—, Ofen 40 zł. 185.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 55.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 75.—, Salma 40 zł. m. k. 235.00, Pożyczka salobурska 20 zł. 75.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.00.

Wiedeń 20 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 17·15 (spokojnie). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 39·80.

Berlin 20 sierpnia. (Zamknięcie giełdy) (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·50. Spirytus 00·00.

Paryż 20 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·80. Mąka („Fleur de Paris") 30·30.

Frankfurt 20 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 000·00. Koleje państwowe 154·30 exclusive kupon. Alpiny 000·00 Disconto 184·30. Laura 000·00.

Wiedeń 20 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·94—6·95, na wiosnę 7·27—7·28; żyto na na jesień 6·22—6·23, na wiosnę 6·46—6·47; kukurudza na lipiec-sierpień 5·52—5·54, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·54—5·55, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·71—5·73, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na pień-wrzesień 10·75—10·85. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: w owsie silna, zresztą ustalona. Pogoda: piękna.

Budapeszt 20 sierpnia. Giełda zamknięta z powodu święta narodowego (św. Szczepana).

Lwów 20 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 568.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 555·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 850.— do 880.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do —·—, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·30 do 97.00.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99·80 do 100·00. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·20 do 97·90. Pożyczki kraj. z r. 1878 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, $4^1/_2$% po 200 koron 100·00 do 100·70.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·10 do 19·30. Rubel rosyjski papierowy 252.00 do 254.00. 100 marek niemieckich 117·— do 117·50.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31*, 1·35, 8·40***. 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 6·85 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·49, 9·30*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

3)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Było mu nieraźno. Chciałby pogadać... Od czego tu zacząć?... Powie, że zima niezwykle ostra w tym roku... Miał to być strzał próbny. Wycelował.

— Pogoda... — bąknął.

— Czemu pan nie kończysz i nie odejdziesz sobie? — zagadnął go nieznajomy ze źle tłumioną wściekłością. — Masz pan nastawić wskazówkę... Chwilka roboty, a pan się z tem guzdrzesz i udajesz zajętego. To poprostu szarlatanerya!...

— Zaraz skończę... za minutkę. Zdawało mi się...

— Jakoż p. Henfrey skończył i odszedł, ale był bardzo niezadowolony.

— To nie człowiek, ale jakieś licho! Nie pozwala patrzeć na siebie... A jest też na co!... — myślał, brodząc wśród śniegu. — Gdyby cię poszukiwała policya, to i wtedy nie mógłbyś się szczelniej owinąć i zabandażować...

Na rogu spotkał Halla, który ożenił się był niedawno z właścicielką oberży „Pod dyliżansem", a trudnił się teraz dostawą towarów z Iping do stacyi węzłowej w Sidderbridge. Stamtąd też właśnie powracał.

— Jak się masz, Teddy? — rzekł do pana Henfrey.

— Zastaniesz ładną niespodziankę w domu! — odparł mu Teddy.

— Cóż tam nowego? — spytał Hall zaciekawiony.

— Nowy gość do was zawitał. Winszuję!

Tu począł opisywać nieznajomego w słowach wymownych.

— Wygląda, jak gdyby się przebrał, albo jak gdyby chciał się ukrywać. Ja, oprawdą, na waszem miejscu, chciałbym też widzieć twarz człowieka, którego pod mój dach przyjmuję; ale kobiety nie zastanawiają się nad niczem, zwłaszcza jak chodzi o nieznajomych. Rozgościł się już u was, a nie powiedział nawet swojego nazwiska.

— Co też ty mówisz? — zawołał Hall, który miał zrozumienie dość powolne.

— Mówię szczerą prawdę — ciągnął dalej Teddy. — Wziął pokój na tydzień. Nie będziesz mógł pozbyć się go przed tygodniem, choćby to był nawet dyabeł we własnej osobie. A jutro nadejdą jego pakunki. Ma ich podobno sporo. Daj Boże, żeby w pakach było coś więcej, oprócz kamieni. Życzę ci tego, Hall.

Opowiedział przy tej sposobności: jak jego ciotkę w Hastings oszukał jakiś nieznajomy, który miał puste kuferki.

Hall był zaniepokojony i przejęty nieufnością.

— Do widzenia! — rzekł — muszę ja w to wniknąć.

Teddy poszedł dalej; było mu znacznie lżej na sercu.

Zamiast jednak „w to wniknąć", Hall za powrotem został porządnie złajany przez żonę, że zadługo bawił w Sidderbridge; na jego nieśmiałe pytania o gościu odburkiwała niechętnie i wymijająco.

Ale ziarno podejrzenia, które Teddy zasiał w umyśle pana Hall, kiełkowało w cichości, pomimo strachu przed żoną.

To też, gdy nieznajomy poszedł spać, co nastąpiło o pół do dziesiątej, pan Hall bardzo zaczepnie wszedł do bawialni, obejrzał meble swojej żony, ażeby pokazać, że on jest tu panem, nie zaś ów nieznajomy, i ze szczerą pogardą popatrzył na jakieś równanie matematyczne, skreślone na kartce papieru. Idąc na spoczynek, zalecił pani Hall, aby się dobrze przyjrzała pakunkom gościa, gdy nazajutrz przyjdą ze stacyi.

— Pilnuj własnego nosa, a do mnie się nie wtrącaj! — odpowiedziała mu na te rady pani Hall.

Była tem opryskliwszą dla męża, iż w głębi duszy czuła, że ten obcy człowiek jest jednak bardzo dziwny, i sama bała się go potrosze.

Wśród nocy obudziła się nagle. Śniły jej się duże białe głowy, w kształcie rzepy lub brukwi, osadzone na patykach i błyskające czarnemi, jak węgiel oczyma. Te głowy goniły ją i ziały siarką. Lecz że pani Hall była osobą rozsądną, więc opanowała strach, przewróciła się na drugi bok i zasnęła w najlepsze.

ROZDZIAŁ III.

Tysiąc i jedna flaszka.

Nazajutrz przywieziono pakunki nieznajomego, a były to też pakunki niezwykłe: parę kuferków — takie mógłby mieć każdy rozsądny człowiek, — ale po za tem paczka z książkami, ogromnemi, grubemi; były między niemi nie drukowane, lecz pisane dziwnem pismem; skrzynek, paczek i walizek co niemiara, a we wszystkich jakieś przedmioty, owinięte w słomę. Hall dowodził, że to nic innego, tylko butelki.

Nieznajomy wyszedł przed dom w płaszczu, w kapeluszu i rękawiczkach, aby powitać swoje bagaże, które Fearenside przywiózł z kolei.

— Nareszcie przyszły!... Tak długo czekałem — rzekł, podchodząc do wózka.

Zdejmował najmniejszą skrzynkę. Wtem pies Fearensida zaczął ujadać i w chwili, gdy nieznajomy ze swoim pakunkiem wstępował na schody, rzucił się na niego z wyszczerzonymi zębami.

Hall, który stał także we drzwiach, dla gawędki z Fearensidem, odskoczył na bok przestraszony.

— Do nogi! — krzyknął Fearenside i podniósł batog.

Widzieli obaj, że zęby psa chwyciły rękawiczkę, widzieli, że pies podskoczył do góry, złapał za spodnie; w chwili też bicz Fearensida powstrzymał jego złowrogie zamiary, pies podwinął ogon pod siebie i schował się między koła wózka.

Stało się to w mgnieniu oka. Nieznajomy spojrzał na swoje rękawiczki i na swoje spodnie, poczem wszedł do gospody. Słyszeli, że odrazu udał się do swego sypialnego pokoju na górę.

— Ty gałganie, bestyo przeklęta! — mruczał Fearenside, gramoląc się na wózek z biczem w ręku. Pies ukrył się jeszcze głębiej między koła.

— Chodź-no tu, chodź, sprawię ci lanie...

Hall przypatrywał się temu.

— Ukąsił go — rzekł wreszcie. — Trzebaby pójść zobaczyć.

I podążył za nieznajomym. W sieni spotkał żonę.

— Pies Fearensida pokąsał gościa... — nie omieszkał jej oznajmić.

Poszedł wprost na górę, a ponieważ drzwi od pokoju nieznajomego były otwarte, więc wszedł bez ceremonii, będąc z natury skłonnym do serdecznych z ludźmi stosunków.

Okiennice były przymknięte, w pokoju panował półcień. Hall zobaczył coś, jakby rękaw bez ręki i twarz z trzema niewyraźnemi plamami na białem tle, twarz, przypominającą bratek.

Potem otrzymał silne uderzenie w piersi, krzyknął, upadł, drzwi zatrzasnęły się za nim i zostały na klucz zamknięte. Stało się to tak nagle, że nie miał czasu zmiarkować, jak się to zdarzyło. Przed oczyma mignęły mu jakieś niewyraźne kształty, potem doznał bolu, wreszcie wstrząśnienia. I oto teraz stał na schodach, zastanawiając się: co też to być mogło i co on takiego widział?...

Po chwili wrócił do gromadki, która się utworzyła przed gospodą. Fearenside po raz trzeci opowiadał, jak pies rzucił się na nieznajomego; pani Hall czyniła mu o to wymówki, dowodząc, że jego pies nie ma prawa znęcać się nad jej gośćmi.

Huxter, kupiec korzenny, zapytywał ciągle: jak to było, a Sandy Wadgers, kowal, wydawał sąd o tej sprawie; przytem kobiety i dzieci plotły nie do rzeczy: że nie powinno się trzymać takich psów, co kąsają; zastanawiały się: dlaczego on chciał kąsać? — i dowodziły, że na dobrego człowieka nie byłby się rzucił.

Pan Hall stanął na progu i słuchał, a sam sobie wierzyć nie chciał, że tak dziwne rzeczy zdarzyły się na górze. Zresztą słownik jego był za ubogi dla wypowiedzenia tych silnych wrażeń.

— Gość nie chce opatrunku... — odpowiedział na pytania żony. — Ot, lepiej zaniosę jego rzeczy na górę.

— Trzeba mu rękę owinąć czystą szmatą — radził Huxter.

— Naturalnie, to pierwsza rzecz — wtórowała jakaś dama z pośród grupy słuchaczów.

Nagle pies warknął.

Na progu ukazał się nieznajomy, osłonięty szczelnie, jak przed chwilą; miał kołnierz podniesiony do góry, a kapelusz spuszczony na oczy.

— Chciałbym mieć moje pakunki jak najprędzej... — rzekł niecierpliwie.

Jeden z obecnych zauważył, że ma inne rękawiczki i spodnie.

— Czy pana pokąsał? — pytał Fearenside. — Przepraszam... Bardzo mi przykro...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukani E. Winiarza